

PRZEWODNIK SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK

POGWIECONY

KIEROWNICTWU STOWARZYSZEŃ POLSKICH

REDAKTOR: Ks. E. KOZŁOWSKI.

Treść:

Rozprawy:

Prof. Dr. Edward Taylor: »Sprawa robotnicza w oświeceniu idei chrześcijańskiej«	97
R.: »Nasz program społeczny«	106
Ks. prof. Al. Wóycicki: »Przyczyny zaognienia kwestji robotniczej w Polsce« (Ciąg dalszy)	115
Czesława Wolniewiczówna: »Urozmaicenia w stowarzyszeniach« (Ciąg dalszy)	119

Wykłady i odczyty:

Ks. E. K.: »Przed kim trzeba się mieć na baczności?«	125
Łucja Schoenbornówna: »Obchód Świąt Bożego Narodzenia w dawnej Polsce«	131
Ks. E. K.: »Kościół jako dźwignia oświaty i nauki«	136

Dział Zjednoczeń.

Zjednoczenie Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich.

Komunikat w sprawie Związków Stow. Robotników Chrześcijańskich 144

WARSZAWA — POZNAŃ — LWÓW

ZJEDNOCZENIE STOWARZYSZEŃ ROBOTNIKÓW CHRZEŚCJAŃSKICH. — ZJEDNOCZENIE STOWARZYSZEŃ KOBIET PRACUJĄCYCH. — ZJEDNOCZENIE STOWARZYSZEŃ MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

Cena zeszytu w abonamencie 25 mk.

**Z powodu długotrwałego strajku zecerów
ukazuje się niniejszy — grudniowy — numer „Przewodnika
Społecznego“
z znacznym opóźnieniem.**

Celem uniknięcia opóźnienia następnych numerów
wydamy
numery 4 i 5 t. j. styczniowy i lutowy w jednym zeszyście
podwójnej objętości.

Wydawnictwo.

Adres Redakcji i Administracji:
Poznań, Św. Marcin, 69.

**Pierwszy rocznik „Przewodnika Społecznego“
można jeszcze nabyć.**

Cena wynosi 150 mk, ulgowa dla Stowarzyszeń 120 mk.

Biblioteka
UMCS
Lublin

K 912/87/167

čas. 10927/2/3

Prof. Dr. Edward Taylor.

Sprawa robotnicza w oświetleniu idei chrześcijańskiej.

Odczyt wygłoszony na Zjeździe Katolickim w Poznaniu
d. 29. 10. 1920 r.

Kwestja robotnicza jest współczesnym najsilniejszym przejawem istniejącej od początku świata zasadniczej kwestji społecznej, która w różnych epokach przybiera różne formy. W starożytności widzimy ją w formie sprawy stosunku między wierzycielem a dłużnikiem, kwestji agrarnej, niewolnictwa, w średnich wiekach wraca znów w formie kwestji chłopskiej, poddaństwa, cechów i t. p., aż w naszych nowożytnych czasach z ogólnym rozwojem życia gospodarczego i przemianą jego w nowe kształty przemienia się w kwestję stosunku pracy najemnej do kapitału, w kwestję robotniczą. Jest ona nieodłączna od funkcjonowania ludzkiego życia gospodarczego, jest objawem zasadniczej, wrodzonej mu sprzeczności między dwoma podstawowymi jego zagadnieniami, związanymi z celami gospodarstwa społecznego, mianowicie między zagadnieniami produkcji a rozdziału dóbr t. j. dochodu społecznego.

Ludzkość jest głęboko zainteresowana w tem, by suma wytworu społecznego była możliwie największa. Od tego zależy jej dobrobyt, dostatek, możność swobodniejszego życia, pozwalającego na zaspokojenie potrzeb duchowych wyższego rzędu, na postęp moralny i cywilizacyjny. Wiadomo zaś, że maksymalizacja produkcji da się osiągnąć tylko przy istnieniu nagromadzeń kapitału, przy umożliwieniu posiadania przez pewne warstwy nadmiaru dóbr, przy ofiarowaniu osobom, poświęcającym się produkcji, wystarczających premij na to, by wydobyły z siebie maximum wysiłku, przygotowywały się do swej roli odpowiednio. Jednym słowem, trzeba dla tego celu zaapelować do instynktów egoistycznych natury ludzkiej i zużytkować je dla dobra ludzkości, zainteresowując jednostki osobiście w powiększaniu produkcji społecznej. Dlatego też powstała jako nieodzowna konieczność instytucja prywatnej własności wraz ze związanymi z nią konsekwencjami, jak pra-

wo dziedziczenia i testowania, zysk przedsiębiorcy i kapitalisty i t. p. Okazuje się bowiem, że, biorąc za podstawę działania naturę ludzką w tym jej stanie, jaki obserwować możemy przez cały dotychczasowy bieg rozwoju ludzkości, najsilniejszymi pobudkami działalności ludzkiej tam, gdzie chodzi o wysiłek i wytrwałość, są zawsze najpierwotniejsze instynkty: interesu osobistego i dążności do utrzymania gatunku. I nie w tem niema dziwnego. Sam fakt konsumpcji jest aktem egoistycznym. Natura zresztą ludzka nie jest doskonała. Z punktu widzenia religijnego jest to skutkiem grzechu pierworodnego. Z punktu widzenia przyrodniczego — następstwem związku ciała ludzkiego z rozwojem gatunków zwierzęcych. Czy tak czy owak, nie można mieć nadziei na zasadniczą zmianę istotnych podstaw tej natury. Rozwój cywilizacyjny i duchowy może osłabić pewne objawy pierwotnych instynktów, formy ich przejawiania się, może dać większy wpływ elementom ducha, usunąć ich jednak w zupełności lub zmienić zasadniczo w okresie czasu, objąć się dającym ludzkiem przewidywaniami — sądzić należy — nie potrafi.

Z drugiej strony, produkcja nie jest dla ludzkości celem sama w sobie. Nie chodzi wszak tylko o to, by naogół na świecie było co jeść, lecz by poszczególni ludzie mieli co jeść, to jest o zaspokojenie potrzeb wszystkich ludzi w zadawalniającej mierze, o odpowiedni rozdział między nich owoców produkcji, a więc o należyty, sprawiedliwy rozdział dóbr, czyli dochodu społecznego. Jest to i w interesie produkcji, gdyż zbyt mały udział w owocach jej ze strony poszczególnych ludzi czy warstw społecznych zniechęca ich do pracy, do przygotowywania się do swej roli, osłabia podaż ich wysiłków i zdolności, za mała zaś bezwzględna konsumpcja niszczy siły narodu, wskutek czego niemożliwym jest uzyskanie maximum produkcji. Z istoty rzeczy każdy, biorąc udział w zbiorowej produkcji, pragnie możliwie dużo z jej rezultatów zagarnąć dla siebie i im większa w ustroju społecznym panuje równość polityczna, tem silniejszym się staje spór o to, kto ma jeść, jaka część produktu społecznego ma przypaść jako wynagrodzenie każdemu z jego współwytwórców. I znów występuje sprzeczność interesów jednostki i społeczeństwa, względnie jednostki na krótszą i na dalszą metę. Zbyt równy podział dóbr uniemożliwiłby maksymalizację produkcji wskutek braku nagromadzeń kapitału, braku selekcji najteższych jednostek. Poważniejsza zwyczajka wynagrodzenia ponad przyrost danej warstwy społecznej do stwarzania wartości musiałaby osłabić udział innych warstw w produkcji, a tem samem zmniejszyć i produktywność tej warstwy.

Jednem słowem, między temi obiema zasadniczemi dziedzinami zagadnień życia społecznego istnieje ścisła współza-

leżność, a zarazem i sprzeczność, nie dająca się usunąć, gdyż tkwi w naturze rzeczy, w istocie funkcjonowania ludzkiego społecznego organizmu gospodarczego.

Życie nie znosi ujęcia w kategorie bezwzględne, gdyż natura jego sprzeczna jest z nimi. Rzeczywistość chaotyczna, różnobarwna, nigdy nie daje pola, ani materiału do podobnego formułowania swej istoty. Jest ona splotem szeregu sprzecznych i zawiłych kombinacji. A umysł ludzki dzięki swej niedoskonałości nie jest w stanie sprostać zadaniu odtwarzania tej rzeczywistości taką, jaką ona jest. Dlatego też ułatwia sobie pracę przez doprowadzanie rzeczywistości do pewnego abstrakcyjnego, idealnego obrazu logicznego, który musi być jednolitym wobec ubóstwa ludzkiego umysłu, a stąd i niezgodnym z życiem. Niezgodności jednego obrazu zaradza umysł przez stwarzanie drugiego, przeciwnego pierwszemu. Powstaje więc dwoistość ujęć, z których żadne nie odpowiada rzeczywistości. Prawda bowiem leży pośrodku. Ujęcia zaś owe są jedynie grą logiczną, pomocniczym środkiem myślenia, formułowaniem tylko tendencji życia. Z chwilą zaś gdy stają się realnymi ideałami dla działalności ludzkiej, programami społecznymi czy gospodarczymi, z istoty rzeczy pozbawione są możliwości urzeczywistnienia, są szablonami bez wartości życiowej.

Takimi dwoma ujęciami, stanowiącymi określone ideały i programy w zakresie kwestji społecznej, w szczególności w odniesieniu do najwালniejszego jej obecnego przejawu, t. j. do kwestji robotniczej, są dwie sprzeczne i walczące z sobą ideologie: liberalizmu i komunizmu. Obie nie są nowe. Istnieją od dawna, od chwili gdy wogóle kwestja społeczna istnieje, tylko ich wyraz coraz bardziej się precyzuje i zastosowuje wciąż do warunków chwili. Odpowiadają bowiem dwom zasadniczym podstawom życia społecznego, o których wyżej mówiliśmy. Pierwszy z nich głosi wolność zupełną działania gospodarczego, wolność dla gry zasadniczych pobudek działalności ludzkiej, gdyż wówczas produkcja najlepiej się może rozwijać. Jest on sformułowaniem interesów ludzkości w zakresie powiększania produkcji z pominięciem wszelkich innych. Komunizm natomiast głosi zasadę równości podziału dóbr, a więc najbezwzględniej, a zarazem najprościej i najwulgarniej rozumianą ideę sprawiedliwości, nie bacząc na interesy produkcyjne. Jest uosobieniem interesów ludzkości w zakresie rozdziału dochodu społecznego.

Jednostronność i sprzeczność obu tych ideałów z interesami realnego życia ludzkości na dłuższą metę, z jego rozwojem, doskonaleniem się i postępowaniem, stwierdza nie tylko teoretyczna analiza, lecz i doświadczenie historyczne. Pierwsza połowa XIX wieku rozwijała się pod znakiem liberalizmu, wy-

wieszała dumnie jego hasła w najbezwzględniejszej formie, wciełała jego ideały w życie. Okazało się jednak, że spowodowany przez to niesłychany rozwój produkcji, wzrost dobrobytu ludzkości, okupiony był zbyt wielkim kosztem łez i cierpień ludzkich, nędzy niższych warstw społecznych. Powstała więc reakcja, wysuwająca przeciwne względy i interesy na plan pierwszy, nawrót ku ideałom sprawiedliwego, równego rozdziału dochodu społecznego, ku ideałom komunizmu. Trwa ona dotychczas. Jej bezwzględną realizacją jest bolszewizm. Wiemy, do czego Rosję doprowadził, w jakim kierunku pcha inne narody, które się jego ideologii poddają: stacza je w otchłań ruiny gospodarczej i terroru politycznego. Więc i ten ideał okazał się ułudą. I musi nią być, póki natura ludzka będzie taka, jak jest, i póki przyroda jest w stosunku do naszych potrzeb skąpą, póki nie dostarcza nam dóbr w nadmiarze, lecz w ograniczonej ilości, zależnej ściśle od ludzkiego wysiłku, ludzkiej pracy: podobnie jak i pozostać musi zawsze ułudą ideał liberalizmu, póki nie można człowieka pracującego uważać za obojętny, martwy sprzęt, a jego siły wyłącznie za towar taki, jak wszelki inny.

Co więcej, okazuje się namacalnie, że żaden z obu powyższych kierunków nie może być w całej swej czystości, bezwzględnie wprowadzony w życie. Jeśli okres liberalizmu trwał stosunkowo dość długo, jeśli dążności do socjalizacji życia mogą mieć żywotną siłę i znajdować zwolenników jeszcze obecnie, jeśli bolszewizm utrzymuje się mimo wszystko już lat kilka w Rosji, to tylko dlatego, że przystępując do realizacji życiowej odstępowały i odstępują od swych zasad i o tyle tylko mogą się utrzymać, o ile nie są wierne swym doktrynom, odstępstwem od nich zawdzięczając jedynie swą żywotność.

Prawda bowiem leży pośrodku. Zgodnie z istotą i charakterem życia realnego nie może nią być ani liberalizm, ani komunizm, — ani jednostronny ideał produkcyjny, ani bezwzględny ideał równego rozdziału dóbr. Ludzkość nie może poświęcić żadnego z obu tych swych celów. Rozwiązanie kwestji społecznej leży tylko na drodze kompromisu między nimi. Rozmiary kompromisu zależą od każdorazowych konkretnych warunków czasu i miejsca. W związku z tem, czy w danym okresie panuje dostatek dóbr, czy też jego brak, kompromis musi iść raz bardziej w kierunku liberalizmu, drugi zaś raz w kierunku komunizmu. Próbowanie zaś bezwzględnego wcielania w życie tych ideałów uniemożliwia tylko kompromis, wywołuje anarchję, okresy ciągłych wstrząśnień, rujnujących postęp cywilizacyjny i gospodarczy ludzkości. Po próbie realizacji jednej z doktryn, przychodzi reakcja, wręcz przeciwna. I tak biedna skolatana ludzkość ude-

rza wciąż głową o jedną lub drugą ścianę, o nieprzebyty mur niemożliwości życiowych, gubiąc w tej ciągłej wędrówce właściwe rozwiązanie kwestji społecznej, która nic nie postępuje, zgubiwszy swą właściwą drogę, jedynie skuteczną, mogącą liczyć na powodzenie życiowe. Ten zaś postęp, który mimo wszystko zostaje realizowany, idzie wyraźnie nie w kierunku jednej czy drugiej skrajnej doktryny, lecz po drodze kompromisowej tezy, odpowiadającej demokratycznym ideałom nowoczesnej cywilizacji, hasła: **równość warunków, nierówność położenia!** Zapewnić każdemu możliwą równość warunków przy rozpoczęciu działalności gospodarczej, szczególnie pod względem wykształcenia i przygotowania zawodowego, stworzyć i utrzymać warunki gospodarcze, społeczne i polityczne, któreby nie dopuszczały do zbyt wielkich różnic majątkowych, przepaści między warstwami społecznymi, któreby uprzywilejowanie wskutek posiadania większego majątku i wychowania w dobrobycie umniejszały i nie pozwalały mu odgrywać decydującej roli w życiu, któreby umożliwiały wszystkim korzystanie z akumulacji kapitału społecznego i rozwoju położenia gospodarczego społeczeństwa, ułatwiały wybijanie się najdzielniejszych jednostek z pośród wszystkich warstw, zachęcały je do tego przez pozostawienie dostatecznych premij dla wysiłków, skierowanych do zaspokojenia ich egoistycznych uczuć osobistych i rodzinnych, wyrównywały stosunek sił między poszczególnymi warstwami i czynnikami produkcji, uniemożliwiały nadużywanie chwilowej przewagi jednych nad drugimi: oto hasła, które w rozmaitych warjantach przewijają się przez wszelkie programy i wszelkie poczynania społeczne, mające realną wartość. Idą one po drodze kompromisu między sprzecznymi dążeniami produkcji i rozdziału dochodu, występują w imię ich współzależności na dłuższą metę, w imię wspólnego dobra i solidarności interesów wszystkich warstw społecznych. Osiąga się w ten sposób maximum korzyści dla społeczeństwa, bo możliwie największą produkcję przy możliwie w danym stanie rzeczy najlepszym rozdziale jej wytworów między czynniki produkcyjne, ustosunkowując organizację społeczno-gospodarczą do warunków i potrzeb danej chwili i danego miejsca.

Jeśli jednak rzecz tak się ma, jeśli dla postępu ludzkości nieodzownym jest kompromis między sprzecznymi tendencjami jej działalności gospodarczej w warunkach, w których się obracamy na tej ziemi, jeśli solidaryzm społeczny jest koniecznym postulatem rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego, to w takim razie najlepsze i zarazem nieodzowne warunki dla tego rozwoju i postępu znajdować się będą w tych społeczeństwach, które przedstawiają najlepsze pole dla kom-

promisu społecznego. Jasną jest rzeczą, że tylko tam może być on sprawiedliwie i obowiązująco zawarty i wykonany, gdzie poziom moralności, etyczne podstawy i wyrobienie wewnętrzne są dostatecznie silne, zautomatyzowane w świadomości indywidualnej i społecznej. Tylko wówczas strony interesowane będą się poczuwały do wzajemnych obowiązków, do dotrzymywania ich, łagodzenia swych egoistycznych apetytów. Tylko w tych warunkach widzieć będą i w przeciwniku człowieka, czułe będą na głos opinii publicznej, która w ramach nieprzezwyciężania przez nich zasad moralności, wzajemnych zobowiązań i interesu ogólnospołecznego, potrafi wkroczyć, napiętnować winnego, znaleźć sposób na ukaranie go. Na to nie wystarcza wysoki stan cywilizacji i oświaty — potrzeba wyrobienia charakterów i czynnego przejęcia się ideałami moralnymi, co może dać tylko religja.

Z drugiej znów strony sama kwestja społeczna, jako zastosowanie zasady sprawiedliwości w zakresie stosunków społeczno-gospodarczych, przedstawia się jako zagadnienie o podstawie wybitnie etycznej, wchodzi więc w zakres problemów, ściśle związanych ze światopoglądem religijnym i na nim opartych, któremi musi się zajmować religja jako taka. Jeśliby tego nie czyniła, byłaby tylko jednym z systemów metafizycznych, lecz nie żywym źródłem życia, zakonem dobra i czynu.

Takimi li systemami filozoficzno-metafizycznymi były wszelkie religje, oparte na teorii przeznaczenia i ścisłej odpłaty, dlatego też obumarły, nie dając żadnych wartości rozwojowych życiu społecznemu. Inaczej chrześcijaństwo. Wyrosło na mistycznej tajemnicy Ofiary i Przebaczenia, nie stawia ono nieprzebytych granic między ziemią a niebem. Nie narzuca pogardy dla rzeczy doczesnych, ziemskich, nie odkłada nagrody i pociechy wyłącznie do życia przyszłego, lecz pragnie zbliżyć ziemię do nieba, udoskonalić, rozwinąć ludzkość, poprowadzić ją ku Królestwu Bożemu, już tu na ziemi w pewnym stopniu materialnie także ziszczałnemu i osiągalnemu pod warunkiem, że ludzkość będzie postępować na drodze ku Chrystusowi, odrodzi się w Nim, przeniknie Jego duchem i światłem. „Ojciec wasz wie, że tego potrzebujecie... Szukajcie naprzód Królestwa Bożego, a to wszystko przydane wam będzie“, rzekł Chrystus o potrzebach materialnych ludzi, ujmując temi słowy stosunek życia zewnętrznego do wewnętrznej wartości człowieka. I tu spoczywa punkt ciężkości zagadnienia świata, a z niem i życia społeczno-gospodarczego ludzkości. Na nic się nie przydadzą najlepsze urządzenia społeczne i gospodarcze, jeśli człowiek będzie złym i na szkodę innych ich używał, jeśli jego uczucia pozostaną niskie, zwierzęce. Wewnętrzne udoskonalenie człowieka da-

je dopiero warunki dla celowego i pomyślnego rozwoju życia zewnętrznego, dla tego, cośmy nazwali koniecznym kompromisem, opartym na poczuciu solidarności ludzkości. Po zatem, powiększenie sumy szczęścia materialnego, dobrobytu ludzkości, jest z punktu widzenia nauki Chrystusa, celem godziwym, chwalebny, pożądanym.

Co więcej, chrześcijaństwo *ex professo* stawia kwestję społeczną, jako istotną część składową swej nauki. Wszak na jej gruncie wyrosło! Wszak Chrystus urodził się między maluczkimi, pośród nich żył i nauczał, z pośród nich wybrał swych apostołów, pierwszych męczenników. W świecie aryjskim przedewszystkiem od warstw wydziedziczonych, niewolników i biedoty, rozpoczęło się nawracanie świata. Na gruncie społecznym oparta była budowa pierwotnej gminy chrześcijańskiej.

I nie mogło być inaczej. Dobra bowiem nowina, którą głosił Chrystus światu, polegała na wprowadzeniu doń nowego twórczego czynnika, zakonu miłości, uczucia najbardziej społecznego, stanowiącego podstawę wszelkiej organizacji społecznej, wszelkiego rozwoju, postępu i doskonalenia ludzkiej gromady. Stopień wcielenia w życie tej zasadniczej podstawy stosunków ludzkości stanowi o uspołecznieniu, stanie cywilizacyjnym, a nawet i produkcyjnym danego społeczeństwa. Z tem uczuciem narody słabną lub tężeją, powstają i upadają. To jest ewangelja bytu społecznego: dał nam ją nie kto inny, jak Chrystus i uczynił kamieniem węgielnym swego Kościoła.

Kościół pozostał wiernym temu swemu zasadniczemu założeniu przez cały czas swego istnienia. Czyż nie w ten sam sposób, przez odrodzenie zakonu miłości, uratował św. Franciszek z Assyżu w XIII w. cywilizację europejską przed grożącym jej zalewem odrodzonego barbarzyństwa, powstałego przez zaostrenie stosunków społecznych? A historia zakonów i metodycznej organizacji przez nich dobroczynności publicznej czyż nie była jednym ze świetnych sposobów rozwiązania kwestji społecznej stosownie do ówczesnych potrzeb i środków? A walka o *justum pretium*, słuszną cenę, ubrana w świetną teorię św. Tomasza z Akwinu, dalej walka z procentem od pożyczek ówczesnych, prawie wyłącznie konsumcyjnych, jako z lichwą? A wreszcie, przechodząc już do najnowszych czasów, pełna szlachetnych myśli i dążeń encyklika „*Rerum novarum*“ Leona XIII-go? To wszystko drobne tylko punkty i sygnały na owej nieskończonej i nieustannej drodze szukania rozwiązania kwestji społecznej danego miejsca i czasu, opierając się zawsze na przykazaniu miłości, na stwarzaniu warunków dla doskonalenia ludzkości, na dążności do zaspokojenia wszystkich uprawnionych jej potrzeb i celów, szuka-

niu między niemi drogi porozumienia, stanowiącej istotny postęp i pożyteczny, realny krok naprzód.

Tak więc teza kompromisu społecznego, solidarności interesów ludzkości, wypływa ściśle z najistotniejszych przesłanek nauki Chrystusowej, stanowi jedno z ogniw jej najbardziej zasadniczej treści, odpowiadając równocześnie postulatom realnego życia i wskazaniom wiedzy. Nauka ta też jedynie stwarza niezbędne warunki dla wprowadzenia go w życie. Nie znaczy to bynajmniej, by idea chrześcijańska nie uznawała codziennej walki o byt między warstwami społecznymi. Nie! Walka ta jest formą stawiania problemów społecznych, sposobem realizacji postępu, nieodzownym warunkiem ziemskiego istnienia ludzkości, póki trzeba łamać się z przyrodą, operować ludźmi takimi, jakimi są, póki sprzeczne interesy muszą istnieć. Lecz chodzi o to, by walka ta była prowadzona ze względami na dobro ogólnospołeczne i na możliwość istnienia i innych warstw, nie dla samego tylko złamania i zniszczenia przeciwnika, dla narzucenia społeczeństwu swej woli i swego egoistycznego interesu ponad wszystko, — by krótkowzroczna nienawiść nie zaślepiła w niej szermierzy, lecz miłość ogółu i sprawiedliwości, poczucie słuszności były jej zarzewiem i hamulcem, a dobro społeczności celem. Takiej walki sprawiedliwej Kościół nie broni, przeciwnie zaleca wszystkim żywiolom słabszym społecznie organizowanie się dla obrony swych słusznych interesów, dla uzyskiwania praw i podnoszenia się materialnego i kulturalnego. Do warstw silniejszych, uprzywilejowanych w obecnym ustroju społecznym, zwraca się znów z żądaniem dobrowolnych ustępstw w ramach ich możliwości na rzecz warstw od nich zależnych, uszanowania w nich godności ludzkiej, nie traktowania ich li jako przedstawicieli siły fizycznej, stanowiących towar, kupowany na rynku, wzywa do stwarzania instytucyj, polepszających ich byt, żąda hamowania swych egoistycznych apetytów, potępia nadużycia. Od państwa wreszcie wymaga możliwie ścisłego przeprowadzenia w codziennym życiu równości warunków społeczno-gospodarczych, sprawiedliwego ustawodawstwa o warunkach i kontrakcie pracy, zapewnienia wszystkim warstwom minimum koniecznego dobrobytu i spokojnego życia, godzenia wybuchających konfliktów. Kościół nie uznaje jedynie antyspołecznej walki t. zw. klasowej, walki o panowanie jednej klasy nad drugimi, bo w jej drodze osiągnąć można tylko uwstecznienie życia ludzkości, a nie postęp, bo zabija ona w ludzkości jedyną twórczą, doskonallającą ją siłę, siłę miłości.

Związek powyżej nakreślony między kwestją społeczną a etyczno-religijnymi uczuciami i ich organizacją, jaką stanowi Kościół, jest tak ścisły, że a contrario możemy powiedzieć, iż kto go nie uznaje, kto stara się wyzuć kwestję społeczną z jej

podkładu etycznego, oderwać ją od religji, a jako momenty w niej decydujące wysuwa tylko i wyłącznie egoistyczne interesy materialne, — ten musi nietylko oprzeć swą budowę jedynie na najniższych instynktach natury ludzkiej, za hasło swe wywiesić walkę klasową o panowanie jednych nad drugimi, choćby z ich krzywdą i wbrew interesom ludzkości, lecz w dalszej konsekwencji odrzucić naukę Chrystusa, zwalczać Kościół, jako tamę, stojącą mu w poprzek. Wypływa to z nieubłaganej wewnętrznej logiki idei. A że owego związku nie da się niczem usunąć, przeto trzeba w miejsce zwalczanego Kościoła Chrystusowego stawić nowy zakon, nową religję, opartą na przesłankach sprzecznych z Chrystusowemi, na idei egoizmu i nienawiści. I buduje się kościół nowy, kościół zła, synagogę szatana, który występuje do boju z Kościołem Chrystusowym, wciągając powoli i nieznacznie coraz szersze warstwy w tę walkę, od początku świata wydaną i toczoną o władzę nad duszami ludzkiemi. Z jednej strony walczą siła miłości, solidarności, ideał doskonalenia ludzkości, społecznego rozwoju i postępu, Królestwa Bożego — z drugiej zaś siła nienawiści, egoizmu, zniszczenia, rozkładu świata.

Te same objawy widzimy w obu stronach, atakujących religję Chrystusową. Bezwzględny liberalizm, w swym okresie rozkwitu zmierzający do niczem nieskrępowanego wyzysku i ucisku kapitalistycznego warstw nieposiadających, głuchy na wszelkie wołania uczucia społecznego, był ściśle związany z tezą indferentyzmu religijnego. Religję, jej nakazy i zakazy uważał za balast krepujący, za zabobon, przeznaczony do utrzymania w ryzach i do pocieszania warstw niższych. Sam zaś hołdował racjonalizmowi, stwarzał sobie nowe bóstwo: rozum, nową etykę: używania. Obecnie zaś znów cóż innego stwarza doktryna komunistyczna? Stara się swe narzędzie, warstwy robotnicze, odseparować najściślej od reszty społeczeństwa, stawiając między nimi mur nienawiści, fanatyzmu klasowego. Wytwarza się nową historjozofję, t. zw. materialistyczne pojmowanie dziejów, uczącą, że jedynym czynnikiem rozwojowym są egoizm, siła i brutalna przemoc, głosi się nową etykę, proletarjacką, obiecuje się wytworzenie nowej kultury, doskonałej, wyższej i innej od dotychczasowej, kultury proletarjackiej, sztuki nawet proletarjackiej. Wytwarza się z organizacji ruchu robotniczego typową sektę religijną, opartą o fanatyzm partyjny. A że dzieła takiego można dokonać tylko przez oparcie go o jakieś bezwzględne ideały i nakazy, stawia się więc za cel działania osiągnięcie ustroju komunistycznego, drogą do czego dyktaturą proletariatu. Lecz sami prowodyrzy ruchu zdają sobie dobrze sprawę z nieosiągalności, utopijności i szkodliwości takiego ideału. Nie myślą przeczyć temu, to też uważają swe hasła i doktryny wyłącznie tylko za

„mity historyczne“ — „legendy“ — przeznaczone do sfanatyzowania wiernych, do utrzymania ich w posłuszeństwie i wierze nadzieją przyszłej rzekomej nagrody. Wszak tak wyraźnie przyznają syndykaliści francuscy i bolszewicy rosyjscy. W ten bowiem tylko sposób da się odciągnąć gromady od Kościoła Bożego, a następnie pociągnąć do walki z nim, w ten sposób stwarzając warunki dla ujęcia władzy nad światem, dyktatury, w swoje ręce.

W tę walkę jednak wciągnięte są i być mogą całe szeregi jednostek, które nie zdają sobie sprawy, w czyjem ręku są biernymi narzędziami, do jakiej roli ostatecznie schodzą. Doktrynę walki klasowej utożsamiają ze zwykłą walką o byt. Nie zdają sobie sprawy z solidarności na dłuższą metę interesów wszystkich warstw społecznych, z warunków, od jakich zależy ich dobrobyt, ze związku pomiędzy kwestją społeczną, a ideałami etyczno-religijnymi. I jeżeli ci, którzy wierzą i rozumieją, do których duszy przemawia żywo nauka Chrystusowa, nie uświadamiają swego otoczenia, swych współbraci, nie czynią ich odpornymi przeciw podszeptom, łudzącym ich w imię rzekomych korzyści, — stają się współwinnymi ich obalamucenia, popełniają grzech cudzy.

Obecnie nastał czas, gdy nie można pozostać obojętnym, biernym. Nadeszła godzina próby. Rękawica jest już rzucona, walka zacięta wytoczona. Jeśli w niej nie wyteżymy wszystkich sił, jeśli nie staniemy wszyscy jak jeden mąż w obronie ideałów nauki Chrystusowej, biada nam, biada cywilizacji, biada światu temu!

„Królestwo Boże gwałt cierpi — gwałtownicy tylko posiadają je!“

R.

Nasz program społeczny.

Szkoda wszystkich zabiegów i zachodów tam, gdzie nie ma wyraźnych, stałych podstaw i jasno wytkniętych celów działania. Bo wtedy marnują się siły i czas na bezpłodne wahania, mętne postanowienia, nieskoordynowane poczynania. Następstwem tego grzechu pierwotnego to słabość i chwiejność każdej akcji, rozwijającej się na takim podłożu. Brak koniecznej ścisłości i systematyczności skazuje ją zgóry na bezowocność.

Dlatego musimy i w swej pracy społecznej wychodzić z zasad, które już w umyśle naszym nie podlegają żadnym wahaniom, i wytknąć jej dokładnie określone cele. Trzeba

więc nam ustalić sobie jasny i wyraźny program społeczny, któryby był nam gwiazdą przewodnią w naszych staraniach o polepszenie doli tak duchowej jak i materialnej warstw ludowo-robotniczych. Na bezplanowość działalności swej pozwolić sobie nie możemy, zwłaszcza w czasach obecnych, gdzie to najrozmaitsze kierunki i prądy społeczno-polityczne, przeważnie o radykalnem napięciu, jeżeli już nie zupełnie wywrotowo nastrojone, usiłują wciągnąć szerokie masy proletariatu w wir swój i tem samem zagrażają jego dobrobytowi duchowemu i materialnemu. A, przyznać to już trzeba, przynoszą one z sobą wiele energii i pomysłowości. I choć różne są ich cele i nieraz znacznym ulegają przeobrażeniom, to jednak już przeważnie negatywne ich ujęcie nadaje im wielkiego rozmachu, niestety o destruktywnych następstwach. Wobec tego musi nasza akcja społeczna czerpać siły i żywotność z swej celowości, dokładnie wykreślonej. Bez tej celowości będzie ona zawsze słabą i niedołężną i nie sprosta pracy tych, których wpływy na lud nasz chcemy i musimy unicestwiać. Bez jasno ustanowionego planu możemy łatwo popaść w różne błędy, iść raz z nadto na prawo, to znów zbyt na lewo się pośunąć. Jak to ujemnie oddziaływać może na naszą pracę i jakie szkody przynieść to może tym, którym poświęcamy swe siły, swe umiejętności i swój czas wolny, nad tem rozwodzić się nie potrzeba. Nie znaczu to atoli, że nasz program społeczny może być tylko programem t. zw. środka. I na lewo i na prawo odchyła się on.

Jakież więc jest nasz program społeczny, który nam w naszej pracy winien przyświecać?

Żadnego nowego programu ustalać nie potrzebujemy. Boć wypływa on z nauki katolickiej i bierze sobie za cel ostateczny dobro całego społeczeństwa z szczególnem uwzględnieniem warstw co do dóbr doczesnych upośledzonych. A dokładne sformułowanie tych zasad zawdzięczamy przedewszystkiem Leonowi XIII, którego encykliki „*Rerum Novarum*“, „*Graves de communi*“ oraz co do stosunku do państwa „*Immortale Dei*“ są „magna charta“ katolickiej akcji społecznej. Zasady te dają nam zupełnie jasne wytyczne co do celów i metod naszej działalności. I nie potrzebujemy się wcale ich wstydzić lub naciągać je w tę lub ową stronę. Są one tak postępowe, jak na to pozwala dobro Kościoła i społeczeństwa.

Tylko ludzie tak w sekciarstwie swem uprzedzeni jak znany pos. Czapiński mogą je o reakcyjność pomawiać. Lecz z drugiej strony są one o tyle zachowawcze, jak tego wymaga ściśle oparcie o „skałę, którą jest Chrystus“.

Mamy więc w nauce Leona XIII. zarys naszego programu społecznego. Z tego zarysu możemy wysnuć cały plan akcji społecznej i wywieść te cele, do których nam dążyć wolno

i trzeba. Są to atoli tylko wnioski ogólne, normy, wskaźniki, które mają być niejako ramą, w którą trzeba nam nasze dążenia wtłoczyć. Wewnątrz tej ramy jest najdokładniejsze ustalenie każdego szczegółu niemożliwe i niewskazane. Popadlibyśmy bowiem wtedy w doktryneryzm, nie liczący się z warunkami wciąż płynnego życia. Naszym zadaniem jest dopiero na mocy tego programu przez dedukcję stawiać żądania, zastosowane do potrzeb chwili. Nauka i praktyka z ich codziennym niezmiernie bogatym dorobkiem muszą tu wpływać na nasze decyzje i w szczegółach nasze aktualne postulaty społeczne określać. Tak n. p. nie można wstawiać w ogólny, stały, niezmienny program społeczny zasady ośmiogodzinnego dnia pracy, lecz tylko żądanie ochrony robotnika od przepracowania. Ośmiogodzinny dzień pracy może być dopiero postulatem szczegółowego programu doby obecnej, kiedy to doświadczenia porobione za takim ograniczeniem czasu pracy i w interesie pracownika jak i pracy samej się opowiadają. Nie można zaś dawnym pokoleniom robić zarzutu z niezaprowadzenia ośmiogodzinnego dnia roboczego, bo ludzkość nie była wówczas jeszcze tak daleko, by możliwość i potrzebę tak krótkiej pracy rozpoznać i ją też bez uszczerbku dla ogólnego dobrobytu przeprowadzić. Z drugiej zaś strony nie jest wykluczony taki rozwój stosunków, że z względu na wydajność pracy i potrzeby pracowników będzie wskazaniem zmniejszenie czasu pracy poniżej 8 godzin.

Przedstawiając poniżej nasz program społeczny nie ma pisarz tych słów żadnego i innego zamiaru jak tylko przypomnieć i wyświetlić te wszystkie zasady, których urzeczywistnienie i przeprowadzenie w życiu praktycznym musi być celem wszelkich naszych poczynań. Musimy z jak największą stanowczością o nie walczyć. Trzeba nam być bojownikami postępu społecznego. Niestety jeszcze wiele jest pod tym względem do zrobienia. Niejednemu z nas przyjdzie stąd zmienić swój kierunek myślowy.

I nie może być co do głównych zasad naszych dążeń społecznych żadnej rozbieżności, poglądów, bo „in necessariis unitas”. Musimy się duchowo wydobyć z więzów upodobań, uprzedzeń i przesądów stanowych lub uwitych z wpływów otoczenia i towarzystwa i niczem nie przyćmionem okiem patrzeć na to, co się wkoło nas dzieje.

To nas dopiero doprowadzi do zgody na wspólny program, który jest niezbędną koniecznością. Warto tu przytoczyć słowa Piusa X.: „Aby ta akcja utrzymała i rozwijała się z konieczną spójnią wszystkich dzieł, które się na nią składają, potrzeba przede wszystkim, by katolicy między sobą zachowali przykłądną zgodę, tej

zaś nie otrzymamy nigdy, jeżeli w wszystkim nie będzie jedności poglądów¹⁾.

Solidarność nasza w uznawaniu pewnego ściśle określonego programu społecznego nie wyklucza atoli różnicy poglądów w szczegółach n. p. w sprawie reformy rolnej co do maximum posiadania ziemi.

Ten wspólny program społeczny jest niezbędną podstawą pracy w wszystkich naszych organizacjach, czy to kulturalno-oświatowych, czy też politycznych.

Jakkolwiek właściwa społeczna praca z polityką nie ma nic wspólnego²⁾, to jednak łączą się z kwestją społeczną niektóre zagadnienia polityczne tak ściśle, że każdy program społeczny musi co do nich zająć stanowisko. Są to takie sprawy, które na układ stosunków społecznych wywierają wpływ decydujący; stąd pominąć je nie sposób.

Wobec tego musi i nasz program stawiać niektóre postulaty polityczne, nie przestając być programem ściśle społecznym.³⁾

Otóż przedewszystkiem odrzucamy wyłączne panowanie jakiejś klasy społecznej. Jesteśmy przeciwnikami dyktatury tak proletariatu jak i kapitału. Nie uznajemy żadnych przywilejów z wyjątkiem pracy i zasługi. Wyróżnienia bowiem na mocy przynależności stanowej lub materialnych zasobów sprzeciwiają się sprawiedliwości społecznej. Każda dyktatura jakiej klasy wychodzi zawsze na ucisk drugiej. Stąd ani na rządy szarej masy ani pełnego worka nie godzimy się.

Udział w władzy przysługuje wszystkim klasom w stosunku do ich znaczenia dla państwa. To znaczenie dla państwa nie powinno atoli opierać się na rzeczach czysto przypadkowych, jakimi są pochodzenie lub siła podatkowa jakiego osobnika. Stawiając tak tę sprawę, nie przesadzamy atoli sposobu wywierania wpływu na rząd ani rodzaju reprezentacji ani też systemu prawa wyborczego. To wszystko zależy od stosunków i warunków poszczególnych. Forma rządu jest rzeczą obojętną, byleby zostały zachowane powyżej wymienione warunki. W żadnym zaś razie nie możemy zwalczać jako błędnych tych poglądów, które ją uzależniają od woli całego narodu. Bo wyraźnie zaznacza Leon XIII: „Byleby zachować sprawiedliwość, naród może sobie stanowić taki rodzaj ustroju państwowego, jaki lepiej odpowiada albo jego charakterowi albo zwyczajom i obyczajom

¹⁾ Encyklika „Certum Consilium“.

²⁾ Por. encyklikę „Graves de communi“, wyd. „Głosów Katolickich“, str. 12.

³⁾ „Der Arbeiterpräses“, t. 15, zes. 6—10, str. 63, artykuł: Dr. Beck: Ein katholischer Sozialprogramm.

przodków¹⁾). Tem samym została demokracja polityczna oficjalnie uznana przez Kościół. Nie można atoli stąd wnioskować, że jest ona jedynie uprawnioną formą rządów. Tego atoli trzeba żądać od każdej formy rządów, by opierała się ona na demokracji społecznej.²⁾

Tej obojętności teoretycznej naszego programu społecznego wobec ustroju państwowego musimy już dlatego przestrzegać, że inaczej mielibyśmy już program polityczny. Nie wyklucza to atoli, że w praktyce opowiemy się zależnie od stosunków i warunków za tą lub ową formą rządów, która nam według okoliczności wyda się jako najlepiej zapewnijająca urzeczywistnienie postulatów demokracji społecznej.

Przeciwstawiamy się też stanowczo wszechwładzy państwa, jego ingerencji w wszystkie bez wyjątku sprawy osobiste, rodzinne i społeczne.³⁾ Hegla 'deifikacja państwa i płynące stąd praktyczne konsekwencje sprzeciwiają się zasadniczo nauce katolickiej. Musi więc w nas znaleźć wrogów tak bujnie obecnie szerzący się etatyzm, bo nie jest on niczem innym jak tylko niedołężnym stosowaniem zasad wszechpotęgi państwa.

W naszym młodem państwie jest to niezmiernie ważne, acz trudne zadanie. Rozumna samodzielność jest dla nas jedną z głównych podstaw zdrowych stosunków społecznych. W myśl tego znajduje w nas zwolenników samorząd gmin i wyższych ciał zbiorowych oraz prywatna inicjatywa, zmierzająca ku zaspokajaniu potrzeb tak duchownych jak i materialnych społeczeństwa. Państwu przyznajemy tylko prawo kontroli oraz bezpośredniego czynnego udziału wtedy, gdy rozchodzi się o zapobieżenie jakim niebezpieczeństwem. Jedynie „jeżeli czy to interesy ogółu czy stosunki poszczególnych stanów zostaną naruszone lub tylko zagrożone, a niepodobna temu zaradzić w inny sposób, wówczas wkroczenie władzy publicznej jest niezbędne.⁴⁾ Każde więc zbyt znaczne ograniczenie wolności obywatelskiej, każde usuwanie zdrowej inicjatywy prywatnej leży poza obrębem kompetencji władzy państwowej. Stąd są dla nas żądania socjalizmu tak marksowskiego jak i t. zw. państwowego co do objęcia przez państwo wszystkich dziedzin życia publicznego nie do przyjęcia.

O wiele obfitszy jest nasz program w dziedzinie czysto społecznej, lecz zarazem stanowczo trudniejszy do przeprowadzenia. Bo chodzi tu przede wszystkim o sprawiedliwe unor-

1) Encyklika „*Dicturnum illud*“.

2) Por. encyklikę „*Graves de communi*“.

3) „*Rerum Novarum*“, wyd. ks. dr. Trzczińskiego, str. 34.

4) „*Rerum Novarum*“, op. cit., str. 35.

omowanie stosunku kapitału do pracy, co właśnie stanowi główne jądro całej kwestji społecznej. A rozwiązanie tej sprawy napotyka na nadzwyczaj wiele trudności różnolitej natury; wciąż nasuwają się jakieś zawikłania, komplikacje, większe czy mniejsze naruszenia sprawiedliwości wymiennej. I prawdopodobnie nie dojdziemy nigdy do jakiegoś idealnego jej rozwiązania w praktyce. Nam musi więc na tem zależeć, by możliwie jak najwięcej zbliżyć się do ideału przy tem przeświadczeniu, że zupełnie wszelkich braków nie da się usunąć.

Przy ustalaniu naszego programu społecznego wychodzimy tu z tego założenia, że w stosunku kapitału do pracy jest jeszcze wiele niedomagań. Wprawdzie los robotników, tj. tych co fizycznie pracują, poprawił się znacznie; trudno zaprzeczyć, że stoją się oni teraz nieraz lepiej od członków innych warstw, inteligencji, urzędników i t. d. Lecz mimo to nie można nie widzieć, że kapitał jest jeszcze wobec pracy bardzo uprzywilejowany, że zapewnia on wiele większe korzyści niż trud osobisty. Niech jeden jaskrawy przykład posłuży na umocnienie tego twierdzenia. Otóż akcjonariusz jakiegoś przedsiębiorstwa może przy szczęśliwym zbiegu okoliczności bez żadnego osobistego trudu mieć w krótkim bardzo czasie zysk z kapitału ułożonego wynoszący do kilkaset procentów, gdy tymczasem pracownik, równo czy umysłowy czy fizyczny, który pracą swą w wielkiej mierze, choć nie wyłącznie, — przyczynajemy bowiem i kapitałowi tu pewną usługę — umożliwił ten zysk, otrzymuje tylko zapłatę, choćby i bardzo dobrą, ale nigdy równomierną do wynagrodzenia kapitału. Ta stwierdzona przewaga kapitału nad pracą musi więc wywołać odpowiednie z naszej strony postulaty.

W każdym razie jest kapitał jako taki niezbędny i konieczny. Ma on wielkie znaczenie dla wytwórczości gospodarczej i zdruzgotanie go według recepty wywrotowców równałoby się samobójstwu ekonomicznemu. Nie można więc domagać się jego usunięcia. Lecz chodzi o to, by ukrócić jego bez wątpienia istniejące wybryki i sprowadzić jego przewagę nad pracą do możliwych w obrębie podtrzymania i ożywienia wytwórczości granic. Stąd świta nam w dali co prawda jeszcze odległej możliwość uregulowania sposobów wynagrodzenia za pracę na odmiennych niż dotychczas podstawach. Wprawdzie sprawiedliwa zapłata wedle nauki katolickiej jest ta, która zapewnia pracownikowi i jego rodzinie uczciwe utrzymanie.¹⁾ Lecz można to uważać za minimum zapłaty. I nie tylko sprawiedliwość (iustitia), ale i słuszość (aequitas) ma tu swój głos. A ta domaga się czegoś więcej, t. j. by przy wyna-

¹⁾ „Rerum Novarum“, op. cit., str. 42.

gradzaniu za pracę uwzględniano także jej wartość dla kapitału. Inaczej bowiem ma praca inne znaczenie dla pracodawcy, inne dla pracownika. Żądanie Leona XIII. „by robotnik z tego, co dostarcza społeczeństwu, sam coś otrzymał¹⁾” może podlegać dość szerokiej interpretacji. Tak rodzi się nasze dążenie, by i praca stała się „akcją”, mającą prawo do udziału w zyskach. Przeprowadzenie atoli tego postulatu nastęrcza nadzwyczajne trudności i wywołuje najróżniejsze komplikacje. Rozmaite wysuwa się sposoby ku rozwiązaniu tego zagadnienia, ale wszystkie mają dotąd jeszcze jakieś braki względnie niesłuszności. Szczegółowe wnikanie w ten problemat wychodzi poza zakres niniejszej pracy i może być przedmiotem osobnego jeszcze artykułu.

Bądź co bądź, obecny stosunek kapitału do pracy nie jest zadawalniający wymagania, jeżeli nie sprawiedliwości, to słuszności i dlatego winniśmy przynajmniej mieć przed oczyma inne uregulowanie tego stosunku. Jak to zrobić i urządzić, to jest już przedmiotem badań osobnych doktryn społecznych, dla których rozwijania tu przy ustawianiu ogólnego programu społecznego niema miejsca.

Lecz wszelkie sposoby zdobycia dla pracy większych uprawnień muszą się zatrzymać przed jedną granicą, którą tworzy zasada godziwości i konieczności własności prywatnej. Własność prywatna jest tą skałą, na której opiera się ustrój społeczny ludzkości i której usunięcie musi sprowadzić najstraszliwą katastrofę. „Ta teoria (zniesienia własności prywatnej) szkodzi tym samym, których trzeba ratować, sprzeciwia się naturalnym prawom każdego człowieka, wykrzywia powołanie państwa i godzi w spokój i bezpieczeństwo publiczne. Niechże stanie na tem, że pierwszą podstawą, na której oprzeć należy dobrobyt ludu, jest nietykalność własności osobistej²⁾”.

Ta nienaruszalność własności prywatnej nie jest atoli bezwzględna. Dobro powszechne kładzie jej pewne granice. Gdy niema innego sposobu dla zapewnienia warstwom dotąd upośledzonym znośnego bytu materialnego, może państwo własność prywatną w pewnych formach ograniczyć. Ojcowie Kościoła z św. Tomaszem z Akwinu na czele głoszą wyraźnie, że prawnie nabyty majątek pod względem posiadania i zarządzenia tworzy wyłączną własność właściciela, pod względem jednak przeznaczenia swego pozostaje

¹⁾ „Rerum Novarum”, str. 34.

²⁾ „Rerum Novarum”, op. cit., str. 18 i 19.

stać powinien zawsze wspólnem dziedzictwem społecznem¹⁾. Stąd też gdy temu przeznaczeniu nie staje się zadość i wielkie powstają z tego zawiłkiania społeczne, można nałożyć własności prywatnej pewne krępujące ją więzy. Bo przecież prawo jednostki ustąpić musi wobec prawa społeczności. Bogatsi są zobowiązani do ponoszenia pewnych ofiar na rzecz ubogich. Słowa Leona XIII.: „I radzimy, aby oni (bogaci) sami to rozważyli, że bynajmniej, nie pozostawiono im do woli, czy zając się dołą warstw niższych, czy też o nią nie dbać, — ale w tym względzie wiąże ich zupełny obowiązek²⁾), przemawiają za nami; bo ta ostateczna potrzeba, od której uzależnia „Rerum Novarum“³⁾ zobowiązanie ex iustitia do ofiar, zachodzi bez wątpienia w stosunkach obecnych, gdzie trzeba ratować przed zagładą kulturę i dorobek pracy całych wieków. Kto obowiązku swego nie spełnia, tego można do tego zmusić, co w tym wypadku równa się naruszeniu z strony kompetentnych czynników indywidualnej własności. Może więc państwo w nadzwyczajnych wypadkach przeprowadzić wywłaszczenie za wynagrodzeniem. Nawet i wywłaszczenie bez wynagrodzenia nie naruszałoby zasad sprawiedliwości, o ileby taka wymuszona danina na rzecz dobra ogólnego nie przekraczała norm znoszących podatków⁴⁾. W żadnym zaś razie nie może państwo w swych staraniach o pokój społeczny posuwać się do zupełnego lub prawie zupełnego ograbienia właścicieli prywatnych, bo przekroczyłyby wtedy granice przysługującej mu władzy. Zaznaczyć przytem trzeba, że państwo winno w ograniczaniu względnie krępowaniu własności prywatnej postępować jak najostrożniej i najpowściągliwiej, gdyż takie radykalne środki mogą doprowadzić do niebezpiecznych konsekwencji.

To też jesteśmy celem uniemożliwienia nadużyć z strony kapitału za uspołecznieniem tych środków produkcji, które stały się faktycznie monopolem w rękach jednej grupy przedsiębiorców. Bo takie monopole uzależniają całe społeczeństwo od kilku jednostek i dają im przez to niesłuszną przewagę. Niebezpieczeństwo wyzyskania tej przewagi jest bardzo wielkie, a doświadczenie uczy, że podobnym pokusom zainteresowani rzadko się opierają. Monopole prywatne wyrażają się stąd w dyktaturę gospodarczą.

Dlatego też musimy opierać się rozwieleniu się t. zw. trustów t. j. skupieniem przedsiębiorstw jednego rodzaju.

¹⁾ Ks. J. Cieplucha: Własność prywatna. Poznań, 1910, str. 77.

²⁾ „Graves de communi“, op. cit., str. 27.

³⁾ „Rerum Novarum“, op. cit., str. 25.

⁴⁾ „Rerum Novarum“, op. cit., str. 43.

Taka koncentracja kapitału, o ile chce wyłącznie opanować rynek zbytu, jest bardzo niebezpieczna dla równowagi społecznej i słusznie stąd wypowiedali niektórzy prezydenci Stanów Zjednoczonych trustom zaciętą walkę.

Przewaga kapitału wobec pracy narzuca konieczność jak najściślejszej ochrony pracowników celem zabezpieczenia im słuszych praw. To też domagamy się poza wyżej już wymienionemi postulatami ustawowego zapewnienia minimum płacy, ścisłego przestrzegania odpowiadającego wynikom badań naukowych maksymalnego dnia roboczego i wydoskonalenia urzędzeń sanitarnych.

Jesteśmy także zwolennikami zabezpieczenia robotników przed nieusprawiedliwionem żadnemi rzeczowemi względami wypowiedzeniem pracy, co najlepiej dałoby się osiągnąć przez udzielenie przedstawicielstwu pracowników prawa pewnej ingerencji na zwalnianie sił roboczych. Naturalnie musi ten wpływ być tak uregulowany, by uniemożliwiał wszelkie nadużycia i nie powstrzymywał rozwoju przedsiębiorstwa. Zdaje się, że dość szczęśliwie rozwiązano tę sprawę w niemieckiem prawie o radach zawodowych (Betriebsrätegesetz) z 4. lutego 1920, które chroni skutecznie robotnika od nieusprawiedliwionego wypowiedzenia pracy, z drugiej atoli strony nie czyni pracodawcy niewolnikiem robotników. Wogóle należy dążyć celem zbliżenia interesów przedsiębiorcy i jego pracowników i zmniejszenia przez to istniejącego podziału między kapitałem a pracą do zaprowadzenia pewnego rodzaju parlamentaryzmu fabrycznego, któryby atoli nie dotyczył technicznej strony przedsiębiorstwa. Dla pracodawców byłby wprawdzie taki stan niewygodny, bronić się będą oni wszelkimi siłami przeciwko niemu, lecz lepszego sposobu na usunięcie dotychczasowych braków niema.

Uważając zaś wolność osobistą jako jedno z najcenniejszych dóbr człowieka, przyznajemy robotnikowi prawo bronienia się przeciw złym warunkom płacy i pracy za pomocą strajków. Ze względu atoli na szkodliwość każdego strajku dla dobra ogólnego musi być celem naszych starań wpojenie w warstwę robotniczą tego przeświadczenia, że wolno pracę składać tylko dla bardzo ważnych przyczyn i to wtedy, gdy wszystkie inne sposoby uzyskania koniecznych zmian nie miały żadnego skutku. I jest też obowiązkiem władz publicznych zapobiegać wedle możliwości wszelkim strajkom i zatargom ekonomicznym. W tym celu jest koniecznem powszechne zaprowadzenie sądów rozjemczych; czy decyzje tych sądów rozjemczych mają mieć moc obligatoryczną, jak to jest już w niektórych państwach, tego nie można bez wszystkiego rozstrzygać. W każdym jednak razie winny być strajki w zakładach użyteczności publicznej wykluczone.

Do zapewnienia i utrwalenia pomyślności państwa i społeczeństwa winni się wszyscy, stosownie do sił i możliwości, przyczyniać, czy to pracą osobistą czy też pieniędzmi świadczeniami. Jest to rzeczą państwa rozłożyć publiczne ciężary tak, by główny ich ciężar ponosili ludzie finansowo do tego uzdolnieni. Dlatego też oświadczamy się za progresywnym podatkiem dochodowym i majątkowym, jako najważniejszą podstawą dochodów państwowych; w podatkach pośrednich, jakkolwiek są one dla państwa dogodniejsze, widzimy, zwłaszcza o ile one obciążają przedmioty codziennej potrzeby, pewną niesprawiedliwość, gdyż obarczają one w równej mierze bogatych i biednych. Obecne praktyki władz polskich nastęrczają nam wiele materiału do ostrej krytyki.

Ze usiłowania państwa około przeprowadzenia i ulepszenia różnych ubezpieczeń społecznych śledzimy z jak największą życzliwością, o tem na mocy tego, co wyżej wyluszczone, nie potrzeba osobno rozprawiać.

Taki jest nasz program, jaki winien nam przyświecać w naszej pracy społecznej. Szczere przejęcie się nim sprawi, że zgromadzać się będą koło nas ludzie o szerokich poglądach i dobrej woli, bo ujrzą w nas siłę, stanowczość, celowość i postępowość. Pozostaną zaś na stronie tacy, co im stanowe lub klasowe uprzedzenia zaćmiły jasny wzrok, zaśniedziali zacofańcy i nieuczciwi demagodzy.

Więc dalej do dzieła, pro Christo et patria!

Ks. prof. Al. Wóycicki.

Przyczyny zaognienia kwestji robotniczej w Polsce.

(Ciąg dalszy).

Rząd rosyjski patrzył na fabrykę, jako na miejsce bardzo niebezpieczne, nad którym ustanowić trzeba najsurowszy nadzór, a na klasę robotniczą — jako na przedmiot szczególnej opieki ministerjalnej. Inspekcja fabryczna miała za obowiązek komunikować ministerjum finansów w depeszach szyfrowanych o każdym nadzwyczajnym wypadku, jaki zaszedł w fabryce. Korespondencja jej z władzami była poufna; każdy list, adresowany do ministerjum, musiał nosić napis „sekretnoje“ (poufne). Podobnie czyniło ministerjum spraw wewnętrznych, gdy chodziło o klasę robotniczą. Cyrkularz z dnia 12 sierpnia 1897 roku nakazywał policji najsurowszy nadzór nad fabrykami, zakładami przemysłowemi i środowiskami robotniczemi; na wypadek strajku rozkazywał upartych strajkujących wysyłać do miejsc pochodzenia lub też wwozić do gubernji oddalonych rosyjskich; a praktyka ta była

u nas tak powszechną i niezmienną, że chociaż cyrkularze te zostały odwołane na wiosnę 1905 roku, to wszakże strajkujących robotników karano stale deportacją aż do wybuchu wielkiej wojny europejskiej.

Ministerjum spraw wewnętrznych miało bardzo mocny wpływ na inspekcję fabryczną. Na mocy wydanych przez się cyrkularzy z roku 1896, 1900 i 1905 zmuszało ono inspektorów do zwracania szczególnej uwagi na usposobienie robotników tudzież do przeszkadzania strajkom we wszelki możliwy sposób; jednocześnie zapewniało ono bezpośrednią pomoc ze strony władz miejscowych przedsięwziętym środkom przeciwko strajkującym. Skutkiem tego inspektorowie stali się powoli wobec robotników policjantami raczej niż organem nadzoru życia przemysłowego.

Na czele policji i kozaków przywracali oni porządek w fabryce, wypędzali od pracy dziesiątki i setki robotników za zorganizowanie bezrobocia. Zdarzało się bardzo często, że inspektorowie pociągali do sądu i przyczyniali się do skazania robotników na surowe kary w interesie pracodawcy. To też słusznie robotnicy z Baku napisali w deklaracji z roku 1905 do ministerjum finansów słowa następujące: „Inspekcja fabryczna jest kancelarją biurokratyczną na usługach kapitału¹⁾”.

Nie sprawy tedy robotników, lecz przeciwnie — interesy kapitalistów znajdowały w inspektorach najlepszych obrońców. Każdy zakład przemysłowy, podległy inspekcji fabrycznej — pisze prof. Ozierow — musi trzymać książkę, do której inspektor zapisuje swe spostrzeżenia. Otóż między innymi są spostrzeżenia następujące:

Proponuję dyrektorowi fabryki nie klócić się z robotnikami, albo też: proponuję zastosować środki ochronne dookoła kół zębatach celem uniknięcia wypadków nieszczęśliwych przy pracy. Oto uprzejme propozycje zamiast protokółów. Bardzo często inspektorowie fabryczni nieprawie bronili interesów kapitalisty przeciwko robotnikom.

Wyższe sfery kierownicze petersburskie nalegały na ten charakter policyjny inspekcji fabrycznej. Pewnego razu Plehwe, minister spraw wewnętrznych, przybywszy na zebranie inspektorów, zapytał ich: „Czy znacie, panowie, element niebezpieczny w fabrykach?” Na co zebrani odpowiedzieli mu: „Naszem zadaniem jest nadzorowanie nad warunkami umowy pracy“. Wówczas minister zrobił uwagę: „Inspekcja winna pomagać do tego, żeby porządek panował w państwie; jest to jedna z jej racji bytu“. I rzeczywiście, w roku 1896 nakazano inspektorom dostarczyć do departamentu handlu i manufaktur tudzież do policji miejscowej wiado-

¹⁾ J. Ozierow, op. cit.

mości co do, nielegalnej propagandy wśród robotników. W praktyce też inspektorzy często łączyli swą działalność z działalnością policji. Zyskało im to słowa pełne pochlebnego uznania, wypowiedziane przez ministra Sypiagina: „Inspekcja fabryczna jest na wysokości swego zadania“. Minister ten radził rządowi utworzyć specjalną policję fabryczną, rozmieścić oddziały kozaków po centrach przemysłowych, ponieważ dotychczasowe setki policjantów nie wystarczały do utrzymania spokoju w fabryce. Rady te miały swój skutek: na mocy ukazu z dnia 1 lutego 1899 roku zwiększono policję fabryczną i wprowadzono ją wewnątrz fabryki. Wywołało to niesłychane oburzenie robotników, którzy w okresie rewolucyjnym dali upust swemu uczuciu, wypędzając i zabijając policjantów, a jednocześnie domagając się zupełnego zniesienia tej specjalnej „straży“, tembardziej że oprócz niej znajdowało się wśród majstrów i robotników wielu ukrytych szpiegów. Tak w jednym z raportów z roku 1900, adresowanych z Warszawy, przedstawiono konieczność mianowania w fabrykach agentów tajnych, wybranych przez żandarmerję miejscową z pośród robotników lub innych osób, które wszedłszy w bliższe stosunki z robotnikami, mogłyby śledzić za ich nastrojem duchowym i działalnością. Co więcej, sami przemysłowcy uciekali się do tych niegodnych sposobów postępowania, utrzymując policję tajną w swych przedsiębiorstwach albo w tym celu wypłacając sumy stałe żandarmerji miejscowej. Często też zdarzało się, iż przemysłowcy wzywali kozaków dla własnego bezpieczeństwa, rozmieszczali ich w fabrykach nawet w czasie normalnym (Żyrardów). Już w roku 1886 proponowano poddać inspekcję fabryczną pod rozkazy gubernatorów celem ścisłego złączenia jej z policją miejscową. Ale projekt ten spotkał się z żywą opozycją ze strony kilku ministrów, zwłaszcza Wittego, który nie bez słuszności dowodził, że instytucja ta pozbawi się powagi moralnej, tej głównej swej siły. Nawet Pobiedonoscew znalazł się tu w opozycji, wygłaszając w roku 1896 te słowa decydujące: „Jeżeli inspekcja będzie kijem, to nie ona nie zrobi“. Wreszcie dnia 31 maja 1903 roku poddano ją pod zarząd władz gubernialnych. Plehwe proponował przyłączyć ją do ministerjum spraw wewnętrznych; po jego zabójstwie wszakże następny minister ks. Światopełk-Mirski sprzeciwił się temu projektowi, tak iż organ ten został przydzielony do ministerjum finansów.

Tak okropnym był stosunek władz centralnych i miejscowych tudzież samej inspekcji fabrycznej do naszej klasy robotniczej. Był to stosunek wrogi, demoralizujący, pełen ucisku i gwałtu. Niszczył on to wszystko, co w prawodawstwie ochronnem rosyjskiem mogło być dobrego. Społeczna

tedy polityka rosyjska przynosiła robotnikowi naszemu same tylko krzywdy. A tymczasem winna ona była dać robotnikowi polskiemu możność pracy spokojnej i dać mu czuć się zupełnie równym pod względem prawnym — człowiekiem społeczeństwa polskiego. Przytem współczesne, wielce złożone warunki bytu robotniczego wymagają, jak wiadomo, organizacji we wszystkich swych przejawach, iżby klasa robotnicza wydać z siebie mogła maximum owocnego skutku. W tym kierunku we wszystkich państwach Europy zachodniej polityka społeczna działała bardzo wiele. Zorganizowała ona tam na zasadach racjonalnych pośrednictwo pracy, kraje całe pokryła siecią giełd pracy, w ten lub inny sposób ze sobą związanych; ustanowiła sądy polubowe, wydała prawa, zabezpieczające starość i niezdolności do pracy robotników; celem zmniejszenia powodów do starć między pracodawcami a pracownikami przeprowadziła prawa o minimum płacy zarobkowej; co zaś najważniejsza, wcześniej dała robotnikom prawo zrzeszania się, które wytworzyło ten olbrzymi ruch związków zawodowych, jaki najskuteczniej podnosi klasę robotniczą pod każdym względem.

Bez tych wszystkich reform, które dadzą streścić się w jednym wyrazie „organizacja“ bytu robotniczego, proletarijat przemysłowy rozwijać się nie może, ani zdoła urzeczywistnić swój czynny udział w budowie gmachu narodowego. Główną wadą rosyjskiej polityki społecznej, pod której opieką żył robotnik polski, było filantropijne traktowanie kwestji robotniczej, owa miłość do „młodszeo“ brata, jaką łatwiej jest głosić, niż praktykować prostą zasadę równości i sprawiedliwości względem klasy, wznoszącej na swych barach wielki gmach bogactwa krajowego. A tymczasem nasze położenie geograficzne i ten fakt, że głównem bogactwem narodowem jest lud roboczy, wymagały od polityki społecznej troski specjalnej właśnie o ten ludzki nasz kapitał. Nie mając do sprzedania surowców, musimy ciągle w specjalny sposób sprzedawać swą pracę, t. j. kupować surowiec, gdzie się da: bawełnę i wełnę, drzewo i skóry, metale, kauczuk, olej, sól; uszlachetniać je, przerabiać, wkładać w nie wiedzę, badania, technikę, dar wynalazcy i smak, słowem — cały nasz duchowy dobytek, i dopiero rzucić na rynek światowy. Zatem polityka ekonomiczna i społeczna, gdybyśmy ją byli mieli własną, powinna była w tym zakresie polepszać nieustannie a troskliwie gatunek duchowy i fizyczny wytwórczy polskiego robotnika, ułatwiać mu zdobycie wiedzy i smaku tudzież zamiłowanie do pracy. Zatem prawodawstwo społeczne powinno było wytworzyć takie stosunki u nas, iżby robotnik czuł się w nich zadowolonym, zabezpieczonym co do jutra i do pracy maksymalnie uzdolnionym.

Wówczas i przemysł polski zdobyłby sobie potężny filar trwałości, albowiem, jak wiadomo — dobry robotnik jest robotnikiem najtańszym. Tymczasem takiej polityki społecznej i takiego prawodawstwa robotniczego nie posiadaliśmy wcale.

„Tysiączne masy proletariatu napływały do środowisk przemysłowych, ale tu nie znajdowały ani szkół, ani urządzeń społecznych, ani związków zawodowych, ani żadnej wogóle organizacji, któraby stanowiła dla nich pomoc moralną i materialną tudzież szkołę praktyczną, uświadomiła co do ich praw i obowiązków nowych, jako nowowytworzoną klasę społeczną. Masy te nie przeszły przez szkołę życia publicznego, która najskuteczniej chroni od mrzonek nieczyszczalnych. Nikt nie wnosił światła do tych wielotysięcznych zastępów ludowych. Nikt nie kierował rozwojem ich życia duchowego. Nawet prawo podaży i popytu nie mogło działać swobodnie w naszych warunkach gospodarczo-społecznych wobec wszechwładzy administracji rosyjskiej. Robotnik odosobniony, bez możliwości zrzeszenia się w związki, ów stały przedmiot nielitościwego wyzysku kapitalisty, przez długie dziesiątki lat znajdował się niby w zamkniętym kole, z którego nie widział dla siebie wyjścia¹⁾. Oto straszne więzy zewnętrzne, krępujące normalny rozwój naszej klasy robotniczej we wszystkich trzech zaborach, ale najbardziej w rosyjskim. (C. d. n.)

Czesława Wolniewiczówna.

Urozmaicenia w stowarzyszeniach.

(Ciąg dalszy).

Do urozmaiceń uprawianych w stowarzyszeniach należą także gry przeróżne, latem ruchowe na świeżem powietrzu, zimą gry pokojowe. Kto się kierowaniem gier zajmuje, powinien je sam znać dobrze, aby mógł zaznajomić członków z nimi, bo wyuczenie się ich polega na ćwiczeniu. Ulubione przez młodzież są gry w piłkę, tamburino, palant, a także korowody ze śpiewem, lecz bez umięjętnego kierowania młodzież sama nie wyćwicy ich nigdy.

Także wycieczki i zwiedzanie zabytków należą do kształcących i przyjemnych urozmaiceń, lecz wymagają także przygotowania, wpierv wyszukania celu, wyznaczenia punktu zbornego, ułożenia programu, omówienia, które pieśni śpiewać i w jakie gry się bawić. Taka planowość uczy członków

¹⁾ Ks. dr. Al Wóycicki Chrześcijański ruch robotniczy w Królestwie Polskiem, str. 149.

porządku i utrzymuje w korbach. Ktoś z patronatu, kto umie czytać w tajnikach przyrody, powinien członkom zwrócić uwagę na jej piękno, nie tylko ogólnikowo, ale szczegółowo. Zwrócić uwagę na rozmaite gatunki drzew pożytecznych, kwiatów, grzybów i ziół leczniczych. Wycieczki mogą przynieść wiele korzyści, byleby były umiejętnie przygotowane przez zarząd, byleby ich członkowie brakiem punktualności i dobrego zachowania się nie unieprzyjemnili.

Wielką atrakcją jest zwiedzanie zabytków. Niejedni z małego miasta lub ze wsi powiedzą: „Tak, w Poznaniu jest co zwiedzać, ale u nas niema zabytków“. Otóż, choć muzeów, gmachów cennych, pamiątkowych i wystaw niema, jest n. p. kościół. „Ależ ja go znam aż nadto dobrze“, odpowie niejeden. „Jestem w nim co niedziele, jeżeli nie częściej i znam wszystkie kąci“. Odpowiem na to, że nie zna go dobrze, nie wie dokładnie co kościół zawiera i co go zdobi, nie wie w jakim stylu jest zbudowany, nie zna jego historii i dziejów, a przecież na ziemiach polskich różne, nieraz bolesne były losy świątyń Pańskich. Powie ktoś może, że zna już obraz we wielkim ołtarzu, że pozna figurę Matki Boskiej, św. Józefa, św. Antoniego. Ale to mało. Są nieraz obrazy, na które patrząc nie rozumie się z nich wiele, dalej nie zwraca się uwagi na boczne ołtarze, na ozdoby nieraz tajemnic pełne. A choćby wszystko dokładnie było znanem, to jeszcze nie każdy wnika w tajniki symboliczne i artystyczne figur i obrazów, a nawet ozdób kościelnych. Z pewnością ktoś z patronatu może szczegółowych objaśnień udzielić. Członkowie poznawszy dzieje kościoła, wartość i znaczenie wewnętrznego urządzenia, nie będą już bezmyślnym wzrokiem bładzili po filarach, czy kolorowych witrażowych oknach świątyni. Przy pogodzie można urządzić wycieczkę celem zwiedzenia innego kościoła we wiosce sąsiedniej.

W każdym stowarzyszeniu odbywa się więcej zebrań niż wycieczek. I słusznie, gdyż członkowie pracujący zawodowo nie mogliby tyle czasu na nie poświęcić. Zebrania zabierają mniej czasu, ale i chwile na zebraniu spędzone powinny bogactwem przeżyć członkom dostarczyć. Po poważnych śpiewach i pouczającym wykładzie czas na urozmaicenia, które urządzają członkowie w porozumieniu z patronatem i zarządem, ale w tajemnicy przed ogółem stowarzyszonych. Występy składające się z deklamacji, monologów, śpiewu przeplatać należy innego rodzaju urozmaiceniami w formie niespodzianek.

Niespodzianką może być koszyczek owocu, obrazek, książeczka, którą się wylosowuje w łatwy i nie nudzący sposób. Kto urządza niespodziankę w dowód zaufania prosi członka patronatu o wyznaczenie liczby wygrywającej, w którą zaopa-

truje się przedmiot mający być wylosowany. Wielki urok dla członków posiada odgadywanie liczby wygrywającej, która w przybliżeniu oznaczyć można. Najlepiej podług ilości członków wybrać liczbę szczęścia i członkom oznajmić: Wygrywa liczba między jednym a 50 lub pomiędzy 1 a 100. Odgadywanie należy rozpoczynać od ostatnich, innym razem od pierwszych, aby wszystkim dać możność wymieniania liczby. Skoro już wszyscy losowali a nikt nie wygrał, losuje się powtórnie, co wiele zajmuje i bawi, gdyż wszyscy chcą wiedzieć, kto ma najwięcej szczęścia.

Wszystkie loteryjki są bardzo lubiane, lecz bieda z tem, skąd fanty brać. Dziś na wszystko są ceny wysokie, należy unikać wydatków. Każdy z członków ma w domu z pewnością jakiś drobiazg, który go już nie cieszy, a może zawadza, a jest jeszcze w dobrym stanie. Może to być przeczytana książka, nie lubiana gra, jakie album z widokami, kilka pocztówek i t. d. A choćby który z członków drobną ofiarę poniósł, dałby dowód koleżeńskości i dobrego serca. Uczmy członków naszych, doznawania przyjemności nie tylko z powodu wygranej, ale z możności sprawienia innym uciechy daniem drobnych fantów. Srebrna złotówka, lub wazonik wielką czasem radość sprawi wygrywającemu.

Niespodzianki nawet nie powinny być równe, gdyż w miarę powtarzania słabnie zainteresowanie się nimi. Pobudźmy pomysłowość członków kilku gotowymi przykładami. Niektórym członkom znane są rachunkowe rozwiązywania zadań, lub zagadek, młodzież przepada się za tem. Naprzykład stawmy pytanie: „Szli Hiszpan, Niemiec po łak do Paryża, ilu wędrowkę podjęło?“. Ogół odpowie, że trzech, a było ich dwóch tylko, bo Hiszpan i Niemiec szli po łak, a nie z Polakiem do Paryża. Albo: „Poszły na przechadzkę prababka, babcia, matka, córka, wnuczka i prawnuczka. Ile osób szło razem?“. Ogół powie, że sześć, a to nie prawda, gdyż prawnuczka była równocześnie wnuczka swej babci, a córka babci była równocześnie matką wnuczki, a więc szły tylko 4 osoby. Znane to są żarty, jednak świeże dla tych, którzy ich nie znali, dobre, bo zmuszają do obliczenia i myślenia nawet podczas rozrywki. Wiele wesołości wywołuje dowcipnie przez kogoś wyrażone oświadczenie: „Umiem czarować“. Nikt w czary oczywiście nie powinien wierzyć, jednak na takie oświadczenie młodzież natychmiast domagać się będzie dowodów. Wiec trzeba zapytać: „Kto umie ze słomy masło zrobić? Kto umie być tak mądry jak Kolumb? Bo ja to wszystko potrafię. Kto umie z 12 zapalek kwiat zrobić lub młyn postawić w minucie. Nie trudno mi z 10 zapalek kulę zrobić, z 6 Nil lub rzekę, z 7 nawet kata, z 9 linę, z 16 wążę. Kto tego potrzebuje, niech przyjdzie do mnie.

Każda sztuka uda mi się a jak, Posłuchajcie. Powtórzcie kilka razy za mną wyraz słoma, sło ma słoma sło, a będziecie mieć masło gotowe. Podajcie mi pudełko zapalek, a zrobię, cò przyobiecałam. Biore 10 zapalek, układam je w drukowane litery, a chcąc mieć literę K kładę jedną zapalke prostopadle, drugą przełamuję i przyłączam i tak dalsze litery, a w minucie mam kule gotowa, kto nie wierzy, niech przeczyta. Aby zaraz pod ręką rzekę Nil mieć, potrzebuje tylko 6 zapalek i tak dalej. Ale to wszystko nie jest jeszcze mądrością sławnego odkrywcy Ameryki Kolumba. Na pewnej, wspaniałej uczcie potrafił on postawić jajko na kończytej stronie. I ja to bez mozołu potrafię. Ale wpieryw niech obecni się przekonają, czy i to potrafią. Daremne próby. Pokażę zatem, jak się to robi. Widzicie, stoi na ostrym końcu. A wiecie, dla czego to umiem. Gdyż wiem, iż Kolumb gotowane jajko stawiając lekko stuknął, otłukł koniec i jajko stało, cała mądrość i sztuka w tem, że nikt na tak prosty pomysł nie wpadł i nikt go w tem jak w odkryciu Ameryki nie wyprzedził.

Powie kto może, że są to sztuczki, obliczone na efekt, nie licujący z powagą stowarzyszenia. Odpowiem na to, że tego rodzaju urozmaiceń nie uważam za cel, ale za środek zachęcający młodych członków do uczęszczania na zebrania. Cześć młodzieży z upragnieniem wyczekiwać będzie niespodzianek i rozrywek, ale chcąc się ich na zebraniu doczekać, musi wysłuchać poprzedzających niespodzianki poważnej części zebrania, składającej się z wykładu, śpiewu, pogadanki, z których zawsze choć odrobina treści o młodzieńczy mózg i serce się zahaczy.

Jednym z głównych środków przynęty są świetlane obrazy. Niestety przybory do nich są dziś tak drogie, że rzadko które zrzeszenie na nie się zdobydzie. Jeżeli w parafii inne stowarzyszenie posiada aparat, należy z tego korzystać i o wypożyczenie prosić. Poznańskie Tow. Czytelnicy Ludowych wypożyczają potrzebne do tego przezrocza, przy ich wyborze można obok poważnych, religijnych, historycznych i naukowych tematów, uwzględnić także wesołe i podrózniczę.

W życiu stowarzyszeniowym dobrze byłoby zastosować urozmaicenia do potrzeb codziennych. Lecz trudność w tem, jak je przystosować do życia praktycznego. Wiemy wszyscy, że dobra rada złota warta. Pobudźmy przykładem pomysłowość. Za prawdziwie dobrą radę powinien członek jakiś stopień lub nagrodę uzyskać. Ale jakie rady to być mogą? Podam kilka dla przykładu. Dobrą radą będzie, jeżeli na podstawie doświadczenia radzi jeden z członków, że lepiej złożony arkusz papieru listowego, czyli list włożyć grzbietem,

czyli złożeniem na dół, bo ten, kto list otrzyma, z pewnością nie dołem, ale górą rozcinać go będzie. Jeżeli zatem list był przeciwnie włożony, lub co gorsza, jeżeli w nim był jakiś papier wartościowy, dokument lub pieniądz, przyniemy się go nieraz z wielką szkodą na pół. Jeżeli dobrej rady usłuchamy, sobie i innym wyświadczymy przysługę. Druga rada: Jeżeli coś rozedrzesz o gwóźdź, lub inny przedmiot wystający, wyrwij go zaraz, aby się po raz drugi o niego nie zahaczył, a uchronisz siebie i drugich od straty. Trzecia rada: Jeżeli się męczysz z wbiciem gwoździka do obrazka, a nie udaje ci się to, wbij go w skośnym kierunku z góry nieco na dół, a lepiej i prędzej się utrzyma. Są to co prawda drobne rady, lecz w każdym razie warte uwagi, bo przydać się każdemu mogą. W zawodowych stowarzyszeniach powinien patron, lub prezes zachęcić członków do wzajemnego pouczenia i dzielenia się praktycznymi wskazówkami i radami w zakresie zawodowym.

Dalej możnaby w więcej rozwiniętych stowarzyszeniach zaprowadzić złotą i czarną księgę, lub kroniczkę. Mogą służyć do tego dwa zwykłe, równego rodzaju zeszyty, stosownie do przeznaczenia złotym i czarnym napisem zaopatrzone. W złotej kronice zapisywanoby dobre czyny członków, jak udział w pracach narodowo-społecznych. Na przykład: Stowarzyszenie nasze wzięło w tym dniu, miesiącu i roku udział w pracach „Czerwonego Krzyża“. Dochód z przedstawienia przeznaczyło na sieroty wojenne, szyć bieliznę dla wojska. Na Pożyczkę Odrodzenia przeznaczyło 200 mk i t. d. Mogą być także zapiski dotyczące poszczególnych oddziałów, kółek, lub zastępów. Na przykład: Zastęp 3 odwiedził i wspomógł chorego członka, postarał się o lekarstwo trudne do nabycia. Notatki mogą dotyczyć poszczególnych członków. Na przykład: Ten i ten członek przyniósł chlube stowarzyszeniu, wyratował tonące dziecko, lub uratował staruszkę z pod kół tramwaju i tem podobnie. Czarna kronika powinna być postrachem członków, aby jej karty nigdy nie były zapisane. Miejsce w niej dla członków wydalanych dla słusznych powodów ze stowarzyszenia.

Takie urządzenia wywrą wpływ dodatni na członków, z jednej strony działają zachęcająco i wyraża uznanie zaśludkę, a z drugiej strony odstraszać będą od złego i niezgody. Członkowie czuć się będą pod prężierzem opinii i unikać będą napiętnowania. Patronat i zarząd decydują większością głosów sami lub na wniosek członków kogo i za jakie czyny do ksiąg tych wpisać.

Wszelkie urozmaicenia przyciągają młodzież do stowarzyszenia, lepiej, że przez nie zjednamy ją dla szlachetnych celów, niż byśmy mieli patrzeć na to jak młodzież nasza, ta

przyszłość narodu, karmi się niemoralną lekturą, gorszącymi widowiskami kinematograficznymi, jak życie nie tylko swawolą, ale psotą i wyuzdaniem nieraz do zupełnej zatury wstydu wiodącym. Czyż nie żal nam młodzieży, która goniąc za wszelką cenę za rozrywką i zabawą, zatracą zdrowie ciała i dusz młodych? Wiemy, iż człowiek nie znosi próżni. Jeżeli młodzież pozbawimy zdrożnej rozrywki, dać jej musimy w to miejsce godziwą i szlachetniejszą, aby nie powracała do ponętniejszej i grzesznej, kalającej godność człowieka. Celem urozmaiceń i niespodzianek nie jest sama zabawa i przyjemne spędzenie czasu, ale kształcenie i uszlachetnianie upodobań młodzieży i danie jej pociągających i stosownych dla jej wieku wzorów, aby uczyć jak młodzież poza stowarzyszeniem w domu, czy w gronie rówieśników bawić się z korzyścią dla siebie powinna. Wierzymy, iż tak bagatelizowanym na ogół środkiem więcej się nieraz dla młodzieży uczyni niż słusznymi, ale zbyt licznymi nakazami. Ale i przy rozrywkach trzeba zachować miarę, aby uniknąć lekceważenia ich i przesytu. Rozdzielajmy humor i dowcip jako przysmak, a nie strawę główną obok ćwiczeń i nauki, która jest podstawą w rozroście władz i sił młodzieży.

WYKŁADY I ODCZYTY

Ks. E. K.

Przed kim trzeba się mieć na baczności? ¹⁾

Żyjemy w czasach nadzwyczajnych. Niezbadana łaskawość Boża pozwoliła nam dożyć chwili wskrzeszenia naszej ukochanej Ojczyzny. O chwili takiej marzyło kilka pokoleń nas poprzedzających, lecz z niespokojną tęsknotą za nią musiało zejść do grobu. I dopiero myśmy są tak szczęśliwi, że oglądamy naszą Polskę oswobodzoną z kajdan niewoli, że nie ciąży już nad nami stopa drapieżnego zaborcy, żeśmy jako wolny i niepodległy naród równi są innym. Następują teraz w stosunkach państwowych i społecznych ogromne, dawniej wcale niepomysłane zmiany i przemiany. Każdy niemal dzień przynosi coś nowego. Świat rozpoczyna nowy okres swych dziejów.

To też będą o nas i naszych czasach późne jeszcze wieki mówić. I wydadzą one też o nas sąd, czyśmy dorośli do tych wielkich chwil, w których było nam danem żyć, czy też okazaliśmy się jako pokolenie małe, słabe, nie umiejące wykorzystać tego zwrotnego okresu w dziejach tak kraju naszego, jak i całej ludzkości, lecz przeciwnie, sprowadzające nierozwagą swą i nieopamiętaniem wielkie klęski na wszystkich. Nasze zachowanie się i postępowanie będzie przedmiotem ścisłych badań następnych pokoleń, czy ten przełom dziejowy znalazł w nas ludzi zdolnych do podjęcia tak wielkich zadań, czy też tylko kłaków co do ducha lub też szaleńców, co własne i całego społeczeństwa szczęście zburzyli swem krótkowidzstwem.

A dłatego będą się nam wtedy, gdy już ciała nasze w proch się rozleą, tak pilnie przypatrywali, boć przecież my teraz budujemy tę Polskę nową, wnosimy od nowa ten gmach Ojczyzny. A od tego, jak my go wzniesiemy, zależy, czy ta Ojczyzna nasza najmilsza będzie silną i szczęśliwą, czy też znów stanie się pośmie-

¹⁾ Wykład ten umieszczamy z względu na artykuł „Najbliższe zadania” w zeszłym numerze „Przewodnika Społecznego”, chcąc ułatwić czytelnikom praktyczne wykorzystanie umieszczonych tam uwag.

wiskiem narodów i lupem sąsiadów. Sąd zaś będzie tem surowszy, że przecież myśmy małego własną zasługą uzyskali to bezcenne dobro, jakim jest wolność.

Jeżeli czym, to naszym wielkim obowiązkiem jest zachować rozwagę i roztropność w wszelkich naszych poczynaniach. A ta rozwaga i roztropność każą nam szczególnie mieć się na ostrożności wobec wszelkiego rodzaju uwodzicieli i burzycieli, nie wierzyć byle komu i byle czemu, lecz patrzeć nie tylko na piękne a złudne słowa ludzi, lecz przedewszystkiem na ich czyny.

Posłuchajcie!

Żył w dawnych czasach w sławnym mieście starożytnej Grecji, Atenach, garbarz nazwiskiem Kleon. Nieszczególnie mu się wiodło jego rzemiosło, niebardoż mu się też chciało pracować. Począł się więc oglądać za zyskowniejszem i wygodniejszem zajęciem. Nie potrzebował długo szukać. Bo wynalazł sobie politykę jako zatrudnienie bardzo mu odpowiadające. Stał sobie na rynku — sal do zebrań wówczas jeszcze nie było — przywołał kilku gapiów do siebie i począł im wygłaszać swoje poglądy na sprawy społeczne i polityczne. A że ciekawych ludzi w miastach zawsze jest wiele, zgromadziły się wkrótce wokoło niego tłumy i słuchały jego przemówień. A znał się Kleon wybornie na usposobieniu tłumu. Więc wyzywał na cały świat, nikomu i niczemu nie przepuścił. Gardło zaś miał mocne i płuca silne, toż też krzyczał, że można go było daleko słyszeć. A plótł, co mu tylko na myśl przyszło. Lecz słuchaczom podobały się bardzo te jego krzykliwe występy; wyzywał przecież, a to już starczyło, by zapewnić mu poklask i uznanie tłumu ciemnego i nierozgarniętego. Z zapartym tchem słuchano jego wywodów, a przy najzjadliwszych napaściach nie było oklaskom końca. Im zaś większe brednie gadał, tem większe miał powodzenie. Gdzie tylko się pojawił, witały go radosne okrzyki.

Wiodło się więc dobrze Kleonowi na tej jego polityce. Lecz zato nie wiodło się dobrze państwu ateńskiemu. Mówi nam przecież historia, że z chwilą wystąpienia Kleona rozpoczyna się okres upadku Aten. Bo skoro się inni darmożady pomiarkowali, że ten Kleon, co dawniej taką biedę klepał na swem garbarstwie, tak sobie dobrze żyje z swej wielkiej gęby i tak wbród ma wszystkiego, pomysleli sobie zaraz, że oni nie są wcale gorsi od niego, gdyż tak samo nie chce im się pracować i tak samo lubią żyć na cudzy koszt, i rozpoczęli za jego przykładem urządzać hałaśliwe wiece i zebrań i gadać ludowi różne koszałki i opalki. I nie zawiedli się wcale w swoich oczekiwaniach. To ich wiecowanie i wyzywanie oplacało im się wcale dobrze. I tak to wzięli górę w Atenach krzykacze, którzy niczego nie tworzyli, lecz wszystko burzyli. Nadużywali zyskanego nieuczciwymi sposobami zaufania ludu na korzyść własnych swych spraw i wywoływali ciągle zamieszki i zaburzenia. I słabła przez to potęgą wielkiego kiedyś państwa, bo takie rozruchy rozsądzały coraz więcej jego spoistość. Szybko sta-

czało się ono z wyżyn swej dawnej chwały, aż nadciągnął zaborca z północy, król Filip macedoński, i obrozę niewoli nałożył ludowi ateńskiemu.

Takich Kleonów jest teraz wiele. Bo nigdy nie było brak tych, co wyzyskują ludzką głupotę i naiwność i z tego się dobrze mają. A teraz, gdy stosunki wojenne tak ludzi popsuły i w wielkiej mierze odebrały im rozagę i opamiętanie, gdzie to z powodu tych różnych niedomagań i trudności czasowych człowiek popada tak łatwo w wielką drażliwość i zniechęcenie, namnożyło się ich bez miary. Pełno ich wszędzie, i przy pracy, i w podróży i na wiecach, kręcą się jak opętani, woiskają się, gdzie mogą i zawracają głowę tym, co mało są jeszcze uświadomieni lub niebardzo obrotnego rozumu. Próbuja wszystkich sposobów, by się do ludzi dobrać i ich omotać. A znają się, szelmy, wybornie na ich słabości i wiedzą, na co ich schwycić. I niestety, powodzi im się nieźle, znajdują sporo takich, co im wierzą i za nimi idą na bij zabij. Bo już Pismo św. powiada, że „liczba głupców jest nieskończoną”. Latwowierni to już zawsze ludzie byli i będą i na każdą klechdę są gotowi przysięgać, byle przytem robiono wiele hałasu i krzyku.

To też są tacy uwodziciele i burzyciele wielkim szkodnikami. Bo tumaniąc lud i wodząc go za sobą, mają sami wprawdzie wielkie z tego korzyści, lecz wywołują i podsycają niezadowolenie, budzą podniecenie ogólne, krzeszą zawiść i nienawiść, stają się sprawcami sporów i zatargów namiętnych, doprowadzają do rozruchów i zaburzeń i, co prawie najgorsze, okłamują jak najsromotniej swych zwolenników i popleczników i oszukują ich jak najbardziej. Zdarzy się wprawdzie między nimi i jakiś uczciwszy człowiek, co wierzy w to, co mówi, lecz jest to wtedy z reguły taki, który nie ma wiele oleju w głowie i pozwoli sobie wmówić od przemyślniejszych i obrotniejszych różne niedorzeczności i bzdurstwa, lub też jakiś zaciekły szaleniec, który, wpatrzony w jakieś urojone rzeczy, sam nie wie, co robi albo czego chce. Lecz i ten nie jest mniej szkodliwy od tamtych. Żle, bardzo źle jest tam, gdzie tego rodzaju osobniki mogą się panoszyć i pierwsze skrzywce u ludu graja.

Kto więc takim maciwodom wierzy, ich słucha i za nimi idzie, ten pokazuje, że niebardzo jasno jest u niego w głowie, że rozumem swym nie sięga daleko i że mu trzeba wiele jeszcze pouczenia. Czasem nawet jest wprost nie do uwierzenia, jak to nisko jeszcze ludzie w oświacie swej stoją, że tak pozwolą się zapomocą największych błazeństw wodzić za nos; i to jest najlepsze, że tacy mają się nieraz nawet za wielkich mądrałi i pierwsze głowy. Ze tyle jest zacołania i nierozwagi między ludem, jest wprawdzie bardzo smutnem, ale jeszcze nie najniebezpieczniejszym. O wiele groźniejszym jest to, że powstają stąd wielkie szkody dla kraju i całego społeczeństwa, jak to już wyżej wykazano. I także ci, co dadzą się różnym ruchliwym a zręcznym agitatorom omamić, samych siebie

narażają na straty wielkie, i po niewczasie dopiero otwierają się im oczy.

To też powinno być jedną z głównych zasad każdego, który chce być rzeczywiście światłym i roztroptym oraz dobrym obywatelem kraju, nie dać się ogłupić pierwszemu lepszemu przybłędzie o gębie od ucha do ucha i niejasnych zamiarach. Nie wierzyć bylekomu, oto najlepszy sposób postępowania w naszych czasach, gdzie to tak człowieka ciągną na najróżniejsze zebrania i wiece, gdzie to mu się tyle rzeczy możliwych i niemożliwych kładzie do głowy. Bo w tłoku i w tłumie stają się ludzie bardzo łatwowierni i gorączkowi. Zanim się komuś zawierzy, zanim się kogoś poprze, trzeba wprzód się poważnie namyślić i rozmyślić, a niczego na gorąco nie robić, bo ma słuszność zupełną to nasze przysłowie, które mówi: „Co nagle, to po”

Ponieważ zaś, jak już powiedziano, ci różni ogłupiciele i uwodziciele są nieraz bardzo przebiegli i różnych się mają sposobów, trzeba znać się na ich sztuczkach i przebiegach, by nie popaść w sieć przez nich nastawione. Sztuczki i przebiegi te są zwykle te same, bo stosują się do najogólniejszych wad i słabości ludzi, zwłaszcza mało jeszcze oświeconych. Mamy więc prawie niezawodne oznaki dla niesumiennych i nieuczciwych agitatorów w tych różnych sposobach, których oni się chwytają dla obalamienia ludu. Gdy je dostrzeżemy, musi to dla nas być przestrożą, byśmy mieli się bardzo na baczności.

Krzykactwo jest główną z takich oznak. Krzyk i hałas robią bowiem na ludzi wielkie wrażenie; zwłaszcza gdzie jest wielkie zgromadzenie, to unosi się człowiek o wiele łatwiej i traci pręcej panowanie nad sobą, gdy słyszy jakąś mowę, wypowiedzianą nadmiernie umiesionym głosem. Wiedzą o tem dobrze uwodziciele i dlatego zamieniają występy swe wprost w ryczenie. I rzeczywiście, kto tak był już na kilku zebraniach, to wie, że potrzeba tylko głośniej coś powiedzieć, zakrzyknąć, by zebrać liczne i huczne oklaski; a im więcej kto krzyczy, tem silniejsze są oklaski. Krzykactwo ma zresztą inną jeszcze przyczynę. Bo przecież u takich, co wychodzą na wodzenie ludu na pasku, nie wszystko jest w porządku; nie opierają się oni na żadnej uczciwej i szlachetnej podstawie. To też ci, których sprawa nie jest czystą, usiłują zawsze krzykiem nadrobić to, co nie dostaje słuszności ich wywodów. Wrzask i hałas pokrywają zawsze coś niedobrego. Kto ma prawdę poza sobą, ten nie potrzebuje wykrzykiwać. Prawda sama przemawia za nim i zdobywa mu uznanie. Wprawdzie i uczciwi i szlachetni i zasługujący na zaufanie ludzie unoszą się nieraz w mowach swych i przemawiają głosem wyteżonym; lecz nigdy nie jest to rykiem, jak to widzimy u agitatorów spod ciemnej gwiazdy. Poza tem usiłują krzykacze swym wielkim wrzaskiem przykryć te różne niedoręczności i głupstwa, które gadają. Bo ludziom, jak już powiedziano, imponuje silny głos; co za nim się mieści, o to

już nie dbają, na to już nie patrzą. Dlatego to im większe kto brednie gada, tem głośniej hałasuje i, niestety, tem więcej się słuchaczom podoba. Jak to są jeszcze ludzie, bez obrazy mówiąc, tak bardzo zacofani, że ich byleczem można ogłupić!

Każdy więc krzykacz winien być podejrzanym. Gdy taki przed nami się zjawi, to musimy zaraz poznać, jakiego to rodzaju ptaszek. Kto zaś wciąż dalej będzie się wszelkiem krzykactwem zachwycał, ten potwierdzi tylko słusność tego zdania, że na ludzką głupotę niema lekarstwa.

Strzec się trzeba także tych, co tak nadzwyczajne okazują w publicznych swych występach współczucie nad naszą dołą i niemal rzewne łzy nad nami wylewają. Bo chcą oni przez to łatwiej do serc naszych trafić. Człowiek jest przecież tak bardzo czuły na wszelkie współczucie mu okazane. Wyzyskują więc to niesumienni agitatorzy i wytaczają stąd z szczególną lubością przed słuchaczami swymi te wszystkie krzywdy, jakie tym się dzieją. Może być i nieraz też jest w tem coś prawdy, lecz do tej szczypty prawdy dodawają oni całe stopy kłamstwa i przesady. I zdarza się, że dopiero z ust jakiegoś nieznanego mówcy dowiadują się ludzie, jak bardzo są nieszczęśliwi, upośledzeni i wyzyskiwani; przedtem wcale nie mieli o tem pojęcia. Naturalnie, gdy takie skargi i żale ełszy nabita sala, ogarnia ją najwyższe umiesienie.

Występują też i osoby szczerze ludowi życzliwe i bez żadnych ubocznych zamiarów z słowami współczucia i skargami na różne niedomagania i nadużycia, bo wszystkiego przecież chwalić nie można. Z czarnego nie można robić białego. Lecz dostrzeżesz u nich zawsze pewne umiarkowanie; nie będą oni wciąż na tych krzywdach ujeżdżali i trzymali się ich jak pijany płota, jak to czynią ci, którym chodzi tylko o pobałamucenie ludzi. „Co zanadto, to niezdrowo“, przysłowcie to ma i tutaj swe pełne znaczenie. Wszelkie więc nadzwyczajne współczucie jest przeważnie tylko rzeczka udana. Właśnie wtędy, gdy jakiś mówca uderzy w struny, które i u was bólem się odzywają, stawajcie się ostrożnymi i podejrliwymi, czy nie chce on was czasem tylko wyzyskać. Bo jest to rzeczywiście trudnem nie dać się oszołomić tym, co nam pozorną życzliwość i współczucie w słowach wymownych okazują.

Niezawodną oznaką, że okazywane nam zajęcie się naszą dołą jest udane, mamy wtedy, gdy słowa współczucia łączą się z słowami namiętnej nienawiści. Uczciwy i szlachetny człowiek gani wybryki, oburza się na złe postęпки, lecz nie będzie nigdy wzbudzał nienawiści. A jak często zdarza nam się słyszeć na zebraniach publicznych słowa nienawiścią przesiąknięte, pomieszane z podłemi obelgami, wyzwiskami obrzydliwemi lub z zarzutami z palca wyssanemi i nikczemnie zmyślonemi! Zdała więc od ludzi, podjudzających nas nienawistnie przeciw drugim, rzucających wyzwyki i obelgami na prawo i lewo! Niestety, dotąd mają tacy stałe powodzenie, sala cała trzęsie się od zachwyty nad ich gada-

nią. Nie, kto jedynie słowa nienawiści ma na ustach, kto publicznie wyrzuca z siebie wprost strugi namiętnych i pospolitych obelg, ten nie jest obrońcą dobrej sprawy, temu oklasków bić nie można. Kto nad tem się zastanowi i dobrze to zrozumie, ten będzie się starał zawsze choćby w największym ogólnem podnieceniu nad sobą zapanować i nie przyłączy się do tych, co bezmyślnie porwać się dadzą słowom złym i podłym.

A już pochlebca zdradza się sam. Człowiek z natury jest łasy na słodkie i miłe słowa, jak dziecko na kawałek cukierka. Chętnie słucha wszelkich pochlebstw dla siebie i wdzięczny jest temu, kto mu ich hojnie wydziela. To też nie żałują ci, co niebardzo czyste mają zamiary, słuchaczom swym pochlebstw, byle ich tylko sobie zjednać. Wprost śmieszności nieraz nagadają im oni, najmnie-możliwsze rzeczy, z których się sami w duchu śmieją. Dopiero z ust takich swych „przyjaciół“ zapalonych i „wielbiceli“ gorących dowiadują się nieraz ludzie, iacy oni są doskonali i jak wszystkich innych przewyższają i rozumem i zdolnościami i cnotami. Któż więc będzie się dziwił, że za tymi pochlebcomi wszyscy są gotowi iść w ogień! Jeżeli wszystkie inne sposoby nie obruszyły słuchaczy, pochlebstwo napewno zrobi swoje. Jest to sposób bardzo pospolity, lecz gł....., o przepraszam — niemądrych jest zawsze zawiele.

Żadnemu więc pochlebcy nie można wierzyć. Jest to prawda stara jak świat, lecz mało kto o niej pamięta. Oby teraz było lepiej!

Poznać wkońcu też niebezpiecznych agitatorów po ich nadzwyczajnej szczodrości w obietnicach. Obiecują oni i przyrzekają wszystko, czego tylko można zapragnąć, bo to ich nic nie kosztuje. Nawet ptasie mleko — nie jest to właściwie żadna przesada — są gotowi obiecać, byle tylko tem komu zawrócić głowę. Pocziwi zaś ludziska tak ich słuchają, tak im wierzą, tak ich dobrocią i życzliwością się zachwycają! A potrzeba mieć choć tylko trochę oleju w głowie, by przejrzeć całą nicość tych obietnic. Lecz człowiek jakoś w zapale swym wierzy w rzeczy, z których sam, gdy tylko się zastanowi, drwi.

Pamiętajcie więc: „Obiecanki cacanki, a głupiemu radość“.

Takie są główne oznaki uwodzicieli i burzycieli, których niestety mamy teraz tak wielu. Nie potrzeba już dodawać, że tacy ludzie stoją z prawdą na stopie najmniejprzyjaźniejszej. Wprost w głowie pomieścić się nie chce, jak bezczelnie kłamię się na zebraniach, wiecach i po gazetach, byleby tylko zyskać zwolenników. Jest to wprost okropne. Z igły robi się rzeczywiście widły. Ba, żeby tylko to!

Tyle wam podaję z szczerego serca, bo wiele już widziałem i wiele się rzeczy naczytałem, więc znam na wylot tych, od których was chcę przestrzec i obronić. Jesteście więc pouczeni i ostrzeżeni. A często przyjdzie wam z tego korzystać. Nie dajcie się pierwszemu lepszemu, co umie dobrze krzyczeć, wyzywać, pochle-

biać i obiecywać, wodzić za nos. Bo inaczej powtórzy się historia z Kleopem ateńskim. Pamiętajcie, że jakkolwiek nie z wielkich pańców się wywodzicie i nie rozporządzacie bogactwami, od was w głównej mierze zależy, czy o obecnym pokoleniu wydadzą późne wieki sąd pochlebny.

Łucja Schoenbornówna.

Obchód Świąt Bożego Narodzenia w dawnej Polsce.

Święta Bożego Narodzenia należą u nas do najuroczystszych i najmiłszych świąt, dlatego, że odznaczają się one cechą rodzimą, serdeczną i domową, tak odpowiadającą naszym zwyczajom.

Pożytecznym więc będzie, abyśmy my, Polacy, tak bardzo przywiązani do Świąt Bożego Narodzenia, poznali, jak nasi ojcowie te święta obchodzili. Wszak my, po przeszło stuletniej niewoli, żyjący w nowo odbudowanej Polsce, powinniśmy zadzierżnąć związek z tem dawnym życiem, powinniśmy poznać tradycje i zwyczaje naszych ojców.

Polacy, od chwili, gdy przyjęli wiarę chrześcijańską i poznali jej zasady, odznaczali się wielką religijnością i pobożnością. W żadnym kraju zwyczaje religijne, zaprowadzone przez Kościół, nie przyjmowały się tak prędko i nie trwały tak długo, jak w Polsce.

Święta Bożego Narodzenia poprzedzał Adwent (t. zn. przyście), w dawnym polskim języku nazywał się czterdziestnicą, ponieważ zaczynał się od św. Marcina i trwał 40 dni. Stąd utrwalił się zwyczaj spożywania gęsi w św. Marcin, przed tak długim postem. Z kości spożytej gęsi wrócono, jaką będzie zima.

W pierwszą niedzielę Adwentu zaczynał się rok kościelny; dawnym zaś polskim obyczajem wrócono w ostatni dzień starego roku, stąd poszły wróżby zamażpójścia w wilę św. Marcina, które zachowały się dotychczas i są znane powszechnie.

Adwent, to czas przygotowania się na przyście Jezusa, ustawały więc w Polsce zabawy i śpiewania, naród szedł do spowiedzi.

Codziennie podczas Adwentu (jak i dzisiaj) odprawiała się msza święta, zwana roratami, przy siedmiu świecach, na pamiątkę siedmioramiennego świecznika, palącego się przed przybytkiem Pańskim w świątyni jerozolimskiej.

Zwyczaj odprawiania rorat pochodzi z Rzymu, nigdzie jednak to nabożeństwo nie było tak uroczyste obchodzone, jak w Polsce. Sami królowie uczestniczyli w tej mszy św., chociaż odprawiała się ona przed wschodem słońca, na znak czujności i oczekiwania na przyście Zbawiciela i gotowości stawienia się na sąd ostateczny.

Uroczystości świąteczne zaczynały się ucztą postną w przeddzień dni świątecznych, stąd nazwa dnia — wigilja, t. zn. oczekiwanie, czuwanie. Uczta ta to chwila najuroczystsza ze wszystkich, mająca w sobie tyle uroku, tyle ciepła, że kto choć raz w życiu spędził ją w kółku rodzinnem, chwilę tej nie zapomni nigdy.

Z dniem wigilijnym zrosło się w Polsce wiele zwyczajów i to najróżnorodniejszych; niektóre z nich sięgają nawet czasów pogańskich. W tym czasie bowiem przypada przesilenie zimowe dnia z nocą, t. zn. najkrótszy dzień, następnie dnia coraz więcej przybywa. Okres ten u pogan był bardzo uroczysto obchodzony, między innymi u Słowian, do których i my należymy.

Uroczystość zaczynała się wieczorem wspólną ucztą, podczas której spożywano najróżnorodniejsze plody ziemi. Pod stołem umieszczali Słowianie siano, wierząc, że to jest sposób, aby plon był obfity. Dzielono się chlebem, składano sobie życzenia pomyślnego nowego roku.

W ten tak zwany szczodry wieczór i bydło dostawało podwójną paszę.

W dniu tym nikt nie powinien był być głodny. Bogatsi zapraszali więc biednych do stołu i obdarzali ich hojnie. Gody te trwały dni 12. W tym czasie nikt nie pracował. Młodzież, przebrana za niedźwiedzie, wilki, chodziła od chaty do chaty z życzeniami szczęśliwego roku.

Zwyczaj wróżenia był również rozpowszechniony między Słowianami. Wróżono głównie z wosku.

Duchowieństwo polskie, starając się utrwalić wiarę chrześcijańską w narodzie, wprowadziło wiele nowych zwyczajów, pogańskim nadało chrześcijański pierwiastek, zachęcało naród do układania pieśni, związanych ze świętami Bożego Narodzenia.

W ten sposób ze zmieszania tych różnorodnych pierwiastków powstał zbiór przepięknych zwyczajów, które już teraz, na nieśćczęście, tylko gdziegdzie przez lud są zachowywane.

Do obrzędowych potraw wigilijnych w dawnej Polsce należały kucja i kisiel. Kucję robiono z obtłuczonego jęczmienia, który gotowano na gęsto i osładzano miodem, dodając maku. Kisiel robiono z maki owsianej; rozczyniano go wodą, precedzano, gotowano, zlewając na misę, gdzie potrwa tężała na kształt galarety. Przed samą wilją kisiel krajano i polewano mlekiem małowem. Kucję i kisiel stawiano od samego rana na najdosłojniejszem miejscu, za stołem, na t. zw. „pokáciu“. Kucję uważano za potrawę gospodyni, kisiel za potrawę gospodarza. Bez kucji nie było uczy wigilijnej ani u kmiecia, ani u magnata. Zwyczaj ten utrzymał się już tylko na Litwie i Rusi.

Do zwyczajowych potraw należał barszcz z grzybami, bigos postny, kluski pszenne z makiem lub olejem, jagły, kasza hreczana, groch i gruszki, a kogo było stać na to, to i ryby pod różnem postaciami, a więc szczupak z szafranem, karp z rodzynekami i miodem.

Ilość potraw wahała się od 5, 7, 9, 11 aż do 13-tu. Liczba tak wielka miała wróżyć gospodarzowi obfitość płodów w roku następnym.

Aby świetlica przypominała wnętrze stajenki betlejemskiej, zaścielano stół sianem, a w każdym rogu stawiano snop zboża, które miało również oznaczać obfitość przyszłych plonów.

Potrawy, które trzeba było krajać, przyrządzano w przeddzień wilji, aby w tym dniu jak najmniej używać ostrych narzędzi.

Ponieważ dzień wigilijny był właściwie ostatnim dniem staro roku, więc też połączono z nim różne wróżby i wierzenia. Np. kto w wilję rano wstał, ten przez cały rok nie będzie ospały. Myśliwy, który upoluje dużo zwierzyny, a ma przytem nową strzelbę, będzie miał szczęście do polowania przez cały rok. Ilu kto potraw nie zje, tego tyle radości w roku następnym ominie.

Wróżono również ze słomek siana, z kwiatków, wyciągniętych z pod obrusa.

Po różnych domach pisano karteczki z dowcipnemi zdaniami, u ludu kładzono pod obrus symboliczne przedmioty. Np. dziewczyna, która wyciągnie laleczkę, owiniętą w galgany, ta niechybnie wyjdzie zamąż. Dzieciom kładzono pod obrus podarki, bo zwyczaj strojenia choinki upowszechnił się dopiero w Polsce za czasów pruskich.

Gdy pierwsza gwiazda zabłyśła na niebie, siadano do stołu wigilijnego. Cała rodzina, często bardzo z odległych stron, zjeżdżała się do domu ojca, dziadka lub babki, aby wspólnie spożyć wilję. Przed rozpoczęciem uczyt dzielono się opłatkiem, chlebem aniołów, na pamiątkę owych chlebów przasnych, pozostałych od ofiar i przez kapłanów rozdawanych wiernym. Liczba osób musiała być parzysta, w przeciwnym razie ktoś z grona umierał w następnym roku. Dla otrzymania liczby parzystej zapraszano do stołu kogoś z czeladzi. Włościanie i mieszczenie zapraszali często żebraków na pamiątkę, że Chrystus jadał razem z biednymi. Za zło-wieszczą poczytywana była trzynastka.

Przy stole siadano według lat, aby w takim porządku umierać. Wieczereę zaczynano od kiśla i kucji, a potem dopiero szły inne potrawy. Przy spożywaniu grochu rzucano za przykładem gospodarza groch pod sufit, aby dobytek się mnożył i zdrowo pobrykiwał do góry.

W dzień wigilijny szczególną pieczą otaczano zwierzęta domowe, na pamiątkę, że Chrystus dozwolił bydłom być świadkami swego przyjścia. Starano się, aby dobytek cały był należycie nakarmiony; siano po wilji dawano bydłu, ziarno z kłosów ptactwu domowemu, ze słomy robiono powrósła i owijano niemi drzewa w sadzie, bo wierzono, że to przyniesie dużo owoców na rok przyszły. Powszechną była wiara, że bydło w tę noc raz do roku otrzymuje dar przemawiania; nie można tego jednak sprawdzić, bo czas niebieski, niezawsze zgadza się z ziemskim.

Po spożyciu wilij wszyscy udają się na pasterkę do kościoła, a jeśli go w jakiej wsi niema, to zbierają się wszyscy i śpiewają kolendy.

Msza pasterska, odprawiana o północy lub nad ranem, jak również jasełka (t. zn. ubieranie żłóbka) zawdzięczają swój początek św. Franciszkowi z Asyżu, żyjącemu na początku 13-go wieku. Chciał on tem odświeżyć pamięć narodzin Jezusa, uprzytomnić wszystkim te warunki, w jakich Chrystus przyszedł na świat. Z zakonem franciszkańskim, który prędko po swym założycielu przeniósł się do Polski w wieku 13-tym, i do nas dostał się zwyczaj jasełek i pieśni na cześć Boskiego Dzieciątka.

Nowość ta przyjęła się odrazu. W miarę, jak rosło zamiłowanie do jasełek, mnożyły się osoby na scenie, rodziły się nowe piosenki. Akt Bożego Narodzenia zakreślał coraz szersze koło, utworzył się cały zbiór przedstawień, odgrywanych przez pospólstwo. Zwyczaj odgrywania szczegółów z życia Jezusa rozposzechnił się i w Polsce. Gdy zaś reformacja (odszczepieństwo) Lutra zaczęła tego sposobu używać i często brudziła czystość tradycji, Kościół zabronił tego zwyczaju. Tym sposobem kościelne zabytki te popadły w zapomnienie, ocalały tylko z tych utworów niektóre piosenki, t. zw. kantyczki lub kolędy, które nadawały się do śpiewu i zachowane były w pamięci.

Widowisko jasełek usunięto za progi kościoła.

Kolędy polskie odznaczają się dużym wdziękiem, swobodą, bogactwem form. Autorami tych kolęd byli organisci, bakalarze (to jest nauczyciele szkół parafjalnych) i inni ludzie prywatni. Było rodzajem współzawodnictwa, aby w tej lub innej parafji w nadchodzące święta zaśpiewano nową kolenę.

We wszystkich tych piosenkach jeden temat — przyjście Jezusa, w rozmaity sposób rozwinięty. Początek tych piosenek jest bardzo dawny. W wielu z nich spotykamy tak piękne obrazy, że nie pogardziłby nimi niejeden nasz poeta. N. p. ileż uroku ma następujący wyjątek:

A tam osieł z wołem, pod nieba okołem
Parą weń swą buchają, Dzieciąteczko rozgrzewają.
Wejde w szopę: mali anieli strugali
Złotą wierzbę i lipę Dzieciątku na kolebkę.
Jeden kąpiel grzeje, a drugi się śmieje,
Trzeci pieluszki suszy, każdy rad służy z duszy.

Każdy przedmiot, otaczający Jezusa, zasługiwał na wzmiankę i ma sobie poświęconą jedną piosnkę. Naprzykład:

O siano, siano, kwiecie drogi,
Że się na tobie kładzie Bóg ubogi!
O siano, siano, o nieprzeplacone!
Godne, byś było w raju pokoszone.

Czyż nie rozrzewnia tu kołysanka, włożona w usta Marii Panny:

Witaj, Synu najśliczniejszy!

Witaj, Jezu najwdzięczniejszy!

Li, li, li memu Dzieciątku małemu.

Pozostałością jasełek, których zabroniono urządzać w kościele, był i jest w Polsce zwyczaj chodzenia od domu do domu gromady chłopców, którzy, skleiwszy sobie szopkę z tektury i porobiwszy lalki, wyobrażające N. Marię P., św. Józefa i inne osoby, śpiewają kolędy lub wkładają jakie słowa w usta figurek. Kolenowanie to zaczyna się od pierwszego dnia świąt i trwa aż do Trzech Króli.

Uroczystość Bożego Narodzenia trwała w dawnej Polsce aż do 6 stycznia, czego ślad pozostał w obrzędach kościelnych i w zwyczajach ludowych, zwanych „święte wieczory“. Te święte wieczory trwają od pierwszego dnia świąt aż do Trzech Króli i tam, gdzie je zachowują, nie wolno wieczorami używać do pracy ostrych narzędzi. Wieczory te spędzają ludzie na śpiewaniu kolend i opowiadaniu baśni, na rozrywkach i odwiedzinach.

Był to dalszy ciąg godów, święconych wieczorami.

Ze stanu pogody w tych 12 dniach sądzono o pogodzie dwunastu miesięcy w roku.

Podczas świąt Bożego Narodzenia w dawnej Polsce nie było końca najrozmaitszym zwyczajom, obchodom, zabawom, podarkom, przebieraniom się za żydów, cyganów, za tury, niedźwiedzie, koty i wilki.

Wyraz kolenda pochodzi od wyrazu łacińskiego pierwsze dni miesiąca (calendae) i oznacza albo piosnki, albo podarki. Powszechnym bowiem zwyczajem było w Polsce dawanie sobie podarków podczas wilji i w Nowy Rok. Gromady młodzieży chodziły od domu do domu i za piosenki otrzymywały smakołyki, które zbierano potem razem i wyprawiono sobie ucztę.

Święta Bożego Narodzenia należały do najweselszych świąt w Polsce. Nie było roboty w polu, wszyscy mogli się bawić.

Tak rok z Bogiem zaczęty, kończył się uciechą i modlitwą.

Chrześcijanie liczyli najpierw rok nowy od Bożego Narodzenia, potem Kościół przeniósł początek roku na oktawę Bożego Narodzenia, t. j. na 1 stycznia, kiedy Zbawicielowi nadano imię Jezus.

I ten dzień obchodzono uroczyście i wesoło. Była to również pora powinszowań i wróżb. Dawni Polacy witali Nowy Rok słowami „Bóg cię stykaj“, co oznaczało polecenie się opiece Bożej. Rolnicy obsypywali się owsem, na znak pożądaney obfitości. Nowy Rok powinien był zastać bochen chleba na stole, jako znak, aby ten dar Boży nie schodził nigdy ze stołu i czekał zawsze na gości i ubogich. Powszechnym zwyczajem było płatanie figli, kradzenie sobie żartem różnych rzeczy.

Na wieczerzę starego roku dawano lemieszkę z mąki pszennej lub hreczanej, sufo kraszoną, aby taką cały rok była. Podczas jedzenia uderzano się łyżką po twarzy, po wieczerzy mazano lemieszką okna, aby w następnym roku usta i stodoły pełne były zboża i chleba.

W wigilję Bożego Narodzenia dziewczęta zabawiały się wróżbami, np. lały воск, zapalały wiechetki lnu, a u której płomień wzleci w górę, ta wyjdzie pierwsza zamąż. Wróżono z galek, spóżywanych przez psa, lub ziarenek rzucanych kogutowi.

Istniał też w Polsce powszechny zwyczaj, że ksiądz objeżdżał po kolendzie swoją parafię około Nowego Roku, nauczając i utwierdzając swych parafian w wierze.

To są najważniejsze zwyczaje naszych przodków. Wiele z nich zaginęło, a szkoda, bo zawierały one tyle uroku, wesołości i wlewały wiele ciepła i wiary w dusze wątpiące.

A więc odnowmy choć trochę tych dawnych zwyczajów, głównie śpiewanie kolend, który to zwyczaj coraz bardziej zanika.

Nie zapominajmy również o tem, że święta Bożego Narodzenia, głównie wilja, to przede wszystkim święto miłości i zgody. Niech zwaśnione jednostki, zwaśnione stronnictwa i partje podadzą sobie ręce, a dzieląc się w myśli tradycyjnym opłatkiem, zgodnie i społecznie staną do pracy dla wspólnej matki — Ojczyzny.

Ks. E. K.

Kościół jako dźwignia oświaty i nauki.

W długich wiekach istnienia swego miał Kościół katolicki wciąż wrogów zawziętych, którzy różnemi sposobami starali się Go rozbić, zniszczyć. A ulubioną bronią tych wrogów były najpotworniejsze i najhamiebniejsze oszczerstwa. Przecież już w pierwszych latach po założeniu Kościoła przez Chrystusa Pana rozpuszczono po Rzymie pogłoskę, że chrześcijanie to najwstrętniejsi rozpustnicy i ludożercy, co dzieci zjadają. Ostał się Kościół wobec tych i innych jeszcze oszczerstw, które złość i zawiść ludzka wymyśliła. Poczem nieskalaność jego zajaśniała większym jeszcze blaskiem, który narody całe olśniewał.

Lecz mimo to nie ustał świat w swych zaczepkach, w swych napaściach. Boć zło nie może pozostawić w spokoju tego, co dobre i święte, ono będzie wciąż przeciw niemu wyładowywało swą nienawiść i przewrotność, wciąż będzie je plwocinami swemi obryzgiwało. To też i w obecnych czasach jest Kościół przedmiotem oszczerstw najzjadliwszych. Rzucił przecież jeden z największych niedowiarków, Wolter, to hasło: „Oczerniajcie go, oczerniajcie go, zawsze coś z tego pozostanie“. I temu wezwaniu swego herszta

pozostają wierni wszyscy niedowiarkowie i t. zw. wolnomyśliciele, t. j. bezbożnicy. Lżą, kłamią, zmyślają najniemożliwsze rzeczy, by tylko rzucić jakąś plamę na Kościół i poniżyć go w oczach wszystkich. Od kilkudziesięciu zaś lat szczególnie umiłowali sobie to oszczerstwo, że Kościół to ostoja zacołania i wstecznicwa, to szerzyciel ciemnoty i młuctwa, to wróg oświaty, nauki i cywilizacji. A między tymi oszczercami zajmują pierwsze miejsce — żydzi, ci sami żydzi, co to zachowali w swych obrzędach religijnych jeszcze ohydne zabobony, jak maglowanie trupów itp., co ich księga religijna, Talmud, zawiera całe stopy wprost największych głupstw i niedorzeczności. I ci żydzi śmia przeciw Kościołowi św. występować z zarzutami, że popiera on ciemnotę i utrudnia szerzenie oświaty. A za żydami powtarzają te same brednie ich duchowe dzieci, masoni i socjaliści. Wiemy przecież, że socjalizm to plód żydowski, że potomek żydowski Marks wymyślił naukę socjalistyczną, że między socjalistami wodzą rej żydzi. To też nic dziwnego, że socjaliści tak wrogo występują przeciw religji katolickiej i są niejako jeneralnymi ajentami żydów w zniesławianiu Kościoła świętego jako podpory ciemnoty.

I niestety teraz po wojnie coraz bezczelniej rzuca się te oszczerstwa. Niedowiarkowie bowiem chcą wyzyskać to przygnębienie szerokich warstw, jakie je ogarnęło z powodu różnych przykrości i niedostatków z czasów wojny. Dlatego występują tak śmiało i bez ogródek z swymi zarzutami i dodają wciąż do nich coś nowego, t. j. coś gorszego. I w naszej wolnej Polsce — trzeba to stwierdzić z wielką przykrością — szerzy się z wielkim nakładem sił te oszczerstwa przeciw Kościołowi. Są u nas szaleńcy — inaczej ich nazwać nie można — którzy zamiast największą wdzięczność żywić dla Boga za ten cud Jego niepojętej łaskawości, jakim jest uwolnienie Ojczyzny spod jarzma trzech potężnych zaborców, napadają z wielką zaciekłością na Kościół i powtarzają wszystkie zarzuty, które gdziekolwiek usłyszeli lub też w złych książkach wyczytali. Nie wahają się nawet w sejmie, gdzie to ma się układać dla całego narodu dobre, pożyteczne i zbawienne prawa i ustawy, występować z podobnymi napaściami. Co tacy posłowie jak Czapiński i Putek nagadali za okropności, przechodzi wszelkie pojęcie. Podobne rzeczy usłyszeć można i na wiecach i różnego rodzaju zebraniach, wyczytać także w książkach i gazetach, które ludowi wciska się do ręki. Żydzi mają bowiem wiele sług dobrowolnych, którzy w zaślepieniu wykonują ich ohydny robotę. I niejednemu, gdy słyszy te różne zarzuty z ust zręcznych i wygadanych gębaczy, może przewrócić w głowie to kłamstwo bezczelne, że Kościół jest wrogiem oświaty a podporą ciemnoty.

Rzecz ma się wręcz przeciwnie. Oświata i nauka miały zawsze w Kościele katolickim jak najżyczliwszego i najskuteczniejszego orędownika.

Dowodów na to aż za wiele.

Nikt nie może temu zaprzeczyć, że gdziekolwiek tylko nauka chrześcijańska dotarła, tam też i oświata zaraz się szerzyła. Przyjęcie chrześcijaństwa przez jaki naród było zawsze równoznacznem z wydobyciem się z więzów ciemnoty i wejściem między społeczeństwa cywilizowane i oświecone. Kościół katolicki, otaczając całe kraje swą opieką troskliwą, przynosił im z nauką prawdziwą zarazem i oświatę w jak najszerszem tego słowa znaczeniu. Działo się to już dlatego, że nauka Chrystusowa łagodziła obyczaje nawróconych narodów, zmuszała je do zmiany dotychczasowego sposobu życia, wykorzeniała dzikie zwyczaje, tępiła gusła i zabobony, usuwała przesady i stosunek wzajemny ludzi do siebie oparła na miłości bliźniego, która i wobec nieprzyjaciół nie zna żadnego wyjątku. I w ten sposób zrzucały kraje całe z siebie powłokę barbarzyństwa, czyli, jak to mówią, cywilizowały się. I gdyby nie Kościół, to może jeszcze i teraz byłibyśmy pogrążeni w mrokach barbarzyństwa, stali narówni z dzikimi szczepami gdzieś w puszczech głębokich gorącej Afryki.

Lecz jest jeszcze inna przyczyna, dla której rozszerzenie się Kościoła było też rozszerzeniem się oświaty. Bo dokąd dotarł misjonarz z ewangelją Chrystusową, gdzie stanęła świątynia, tam też była i szkoła. Misjonarz był nie tylko głosicielem słowa Bożego, nie tylko kapłanem i kaznodzieją, lecz i nauczycielem. Przy domu Bożym, przy kościele poczęły się narody całe uczyć sztuki pisania i czytania.

To też gdy w strasznych zawieruchach wędrówki ludów zaginęła cała cywilizacja i kultura starożytności, stworzył ją Kościół na nowo. Że w onych czasach ludy Europy nie runęły bezpowrotnie w przepastne tonie barbarzyństwa, jest jego zasługą.

Boć dzisiejsze szkolnictwo wywodzi swój początek z Kościoła. Już w drugim wieku zaślęły szkoły katechetyczne w Aleksandrii, Antiochii, Edesie, Rzymie i Cezarei. Nauczali w nich mężowie uczeni i wielu uczonych wyszło z nich. A zważyć trzeba, że były to czasy prześladowań, gdzie musieli się chrześcijanie ukrywać i przez to mieli wielkie trudności w zakładaniu i utrzymywaniu szkół. To też tem więcej należy podziwiać, że postavili szkoły swe tak wysoko, że z uczeni swych mogły one być dumne. I mówią nam dzieje dawnych czasów, że gdzie tylko prześladowanie poczęło słabnąć, tam zaraz zakładano szkoły osobne dla chrześcijan.

Jak w ścisłem przymierzu stał zawsze Kościół z oświatą, dowodzi jedno zdarzenie z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Odstępczy cesarz Juljan Apostata powziął zamiar wytepienia nauki Chrystusowej. Lecz innemi sposobami niż jego poprzednicy chciał wykonać swe bezecne postanowienie. Otóż nie jął się krwawych prześladowań, lecz wydał przedewszystkiem zakaz dla chrześcijan uczęszczania do ówczesnych szkół publicznych i używania książek, napisanych przez dawniejszych pogańskich pisarzy. Chciał więc

w ten sposób uniemożliwić szerzenie się nauki wśród chrześcijan i tak doprowadzić Kościół do upadku. Lecz co robią chrześcijanie? Otóż tworzą sobie swoje własne szkoły i układają naprędce nowe książki, z którychby się ich młodzież uczyć mogła. To wydarzenie dowodzi dwóch rzeczy. Najpierw to, jak chrześcijanie bardzo cenili oświatę i naukę, że sami na własną rękę zakładali szkoły, by tylko móc czerpać z źródeł wiedzy. Po drugie pokazuje postępowanie Juljana, że w oświacie widział sprzymierzeńca Kościoła.

Najlepszym dowodem na to, jak wysoko stała nauka w Kościele już w zaraniu jego dziejów, jest ten wielki szereg mężów uczonych, których świat jeszcze teraz podziwia, tacy Klemens Aleksandryjski, Cyprian, Origines, Augustyn, Hieronim, Ambroży. Św. Hieronim mógł nawet na przechwałki pogan o ich mędrkach sławnych wydać osobną książkę, w której opisuje najróżniejszych uczonych chrześcijańskich i ich wielkie zasługi około nauki.

Kościół, co takich mężów już w swych początkach wydał, nie może być pomawiany o zacofaństwo i popieranie ciemnoty.

Szkołnictwo było zawsze umiłowaniem dzieckiem Kościoła. Po burzach wędrówki ludów, na początkach średniowiecza, żadne państwo, żadna władza o nie nie dbała, nie starała się o nie. Jedyne Kościół nigdy nie tracił z oczu oświaty ludowej, nigdy o podniesienie jej i utrzymanie zabiegać nie przestawał. I jeżeli mamy w pierwszych stuleciach jakie szkoły, to powstały one jedynie z jego poleceń. Pierwsze szkoły o których istnieniu w średniowieczu wiemy, zostały założone przy katedrach biskupich. I klasztory uważały za jedno z swych głównych zadań szerzenie oświaty i nauki przez utrzymywanie szkół. Niedługo trwało, a mamy już także szkoły przy kościołach parafjalnych.

Bo też papieże i biskupi wydawali duchowieństwu ściśle nakazy zakładania i utrzymywania szkół. Już szósty sobór powszechny w Konstantynopolu w r. 680, przepisuje, aby „każdy kapłan tam, gdzie wykonuje swe duszpasterstwo, w każdej wsi i osadzie otwierał szkoły, aby w niej dzieci mu powierzone nauczano potrzebnych wiadomości“. Papież Eugenjusz II w r. 817 pisze tak do biskupów: „Dowiadujemy się, że w wielu miejscach brak nauczycieli, wskutek czego zaniedbuje się tam nauczanie. Aby tak dalej nie było, rozkazujemy wszystkim biskupom i proboszczom, od nich zależnym, aby wszędzie postarali się o takich i aby wszędzie uczono pilnie dzieci czytania, nauk wyzwolonych i prawd wiary świętej.“ W tym samym t. j. dziewiątym wieku wydał biskup bazyłejski takie rozporządzenie: „W każdej wsi i osadzie mają kapłani utrzymywać szkoły, a jeżeliby kto z pomiędzy wiernych chciał im powierzyć swe dzieci dla nauki, to mają je przyjmować z największą miłością, uczyć i za to nic nie brać“.

Zasada więc bezpłatnego nauczania, którą się nowsze czasy tak szczytą, została najprzód postawiana przez Kościół i to już przed 1200 laty. Pod koniec wieku dwunastego, za papieża Ale-

ksandra III, uchwała synod rzymski, by przy każdej katedrze był nauczyciel, któryby nauczał dzieci szczególnie ubogich rodziców. Podobny nakaz wydaje papież Innocenty III na piątym soborze laterańskim.

Któż inny myślał w owych czasach podobnie!

W taki to sposób nie było prawie przez całe średniowiecze żadnych innych szkół prócz katedralnych, klasztornych i parafjalnych. Jak wysoko stały w tych szkołach nauki, świadczy sława niektórych z nich, która i do naszych czasów przeszła. W początkach średniowiecza mamy w Francji sławną wyspę Lerin z jej szkołą, z której wyszło wielu uczonych mężów. Mówią, że tym znakomitym uczniom szkoły na wyspie Lerin zawdzięcza Francja obecną swą kulturę. W późniejszych czasach mamy znakomite uczelnie paryskie, jak przy kościele św. Genowefy, przy klasztorze św. Wiktora i przy katedrze Matki Boskiej.

W Polsce jest pierwsza szkoła, o której nam dzieje mówią, przy klasztorze Benedyktynów w Tyńcu pod Krakowem. Najstarsze szkoły w Gnieźnie i Poznaniu to szkoły katedralne względnie parafjalne. Tak wiemy o św. Stanisławie męczenniku, że kształcił się najprzód w szkole gnieźnieńskiej, utrzymywanej przez duchowieństwo.

Tak to w owych czasach, gdy królowie, książęta, władze i rządy wszystkim innem zajmowały się, tylko nie oświatą ludu, Kościół przez szkoły swe przeszkodził rozwieleniu się ciemnoty najgorszej. I z najpełniejszym uprawnieniem może on rościć sobie prawo do dumnego miana „nauczyciela świata“.

Jak szerokie kręgi zataczała ta oświata, przez Kościół utrzymywana i szerzona, na to mamy bardzo wyraźne dowody. Otóż posiadamy księgi rachunkowe niektórych miast z końca średnich wieków. I znajdujemy tam rachunki, spisane własnoręcznie przez ślusarzy, stolarzy itd. W mieście Frankfurcie w Niemczech przechowują książkę, zawierającą imiona czeladników, ślusarzy, którzy w piętnastym wieku przez tę miejscowość przeszli. Tych kilkaset nazwisk jest napisane własnoręcznie przez ich właścicieli. Wiadać więc, że umiejętność czytania i pisania była w owych czasach rozpowszechniona nawet wśród ludzi prostych. W dobrach arcybiskupa mogunckiego nawet ostatni parobek umiał czytać i pisać.

Niestety w obecnych czasach w Polsce, kiedy to Kościół żadnego albo bardzo mały ma wpływ na szkolnictwo, daleko jest iesz-
cze do tego. Iluż to u nas nie umie nawet napisać nazwiska swego!

I mów tu o zacofaniu Kościoła i średniowiecza, które tak jego wpływom podlegało!

Co więcej, nowoczesny postęp i rozwój świetny wielu gałęzi nauki nie byłby wcale możliwy, gdyby nie Kościół. Boć jego to zasługą uratowanie i przechowanie skarbów piśmiennictwa starożytnego, na którym głównie opiera się obecna nasza kultura. Druk mamy dopiero od mniej więcej roku 1450. Kto przedtem chciał mieć

jakąś książkę, musiał ją sobie przepisać. I tu okazuje się ta wielka ocena nauki z stony Kościoła i duchownych. Ba klasztory stały się jedynymi szerzycielami książek. W obrębie ich murów powstawały pod pilną ręką zakonników nowe książki, często prawdziwe arcydzieła pod względem wykonania. Siadał sobie taki zakonnik w swej celce ubogiej, zaginał rękawy i przepisywał jedną stronicę po drugiej. A była to praca zmusna, uciążliwa. Nieraz wypadalo pióro z odrętwiałych palcy niestrudzonego pisarza. Przepisanie jednej książki trwało i lata całe. A żadnej nagrody nie miał taki pisarz prócz tego zadowolenia, że przysłużył się nauce, której był zapalonym wielbicielem.

I jeżeli teraz wiemy, co się działo w starożytności, jak wtedy myślano, jeżeli znamy mędrców ówczesnych i ich naukę, zawdzięczamy to tym niezmordowanym przepisywaczom książek w habitach. I niejedyni z tych, co teraz tak Kościół oczerniają w brudnych napaściach, nie byłby tem, czem jest, gdyby nie klasztory i ich mieszkańcy. Nawet pp. Czapiński i Putek nie mogliby tak mędrkować.

Lecz w klasztorach nie tylko przepisywano książki, lecz je i gromadzono z wielką skwapliwością i żarliwością. Pierwsze biblioteki tam powstały. Jeden klasztor ubiegał się z drugim co do swej biblioteki. I opowiadali sobie współcześni wprost cuda o tych klasztornych zbiorach książek. Sława niektórych bibliotek klasztornych rozchodziła się po całym świecie. I rzeczywiście wprost bezcenne skarby w książkach znajdowały się w nich. Jeszcze teraz największą chlubą najlepszych bibliotek świata całego są zabytki bibliotek klasztornych.

I ta chluba i wykwit nowoczesnej nauki, uniwersytety czyli najwyższe szkoły, w których nauczają najwięksi uczeni, powstały i rozwinęły się pod opieką Kościoła. On je zakładał, popierał, wspomagał. Niektóre obecnie bardzo znakomite uniwersytety, jak w Paryżu w Francji i w Cambridge w Anglii rozwinęły się z zwykłej szkoły klasztornej. Inne powstały odrazu jako najwyższe uczelnie i to za staraniem biskupów i papieży. I tak założono, jak mówią historycy, w zachodniej Europie staraniem Kościoła katolickiego w wiekach średnich więcej uniwersytetów, niż w wszystkich późniejszych razem wziętych.

A jaką opieką otaczali papieży te uniwersytety! Nadawał im takie przywileje, że stawały się wprost państwami niezależnymi.

Nie dziw więc, że wobec takiej troskliwości Kościoła o szkoły wszelkiego rodzaju i naukę zasłynęły średnie wieki z licznych imion mężów uczonych. Takim opatem Gerbert, który później został papieżem pod imieniem Sylwestra II, był tak mądrym, iż pomawiano go, jakoby zapomocą czarów zdobył swą wiedzę. Albert z zakonu dominikanów, biskup ratyboński, posiadał tak obszerne i głębokie wiadomości, zwłaszcza w przyrodzie, iż przewano go Wielkim; jeszcze obecnie podziwiają te książki, które on napisał przed blisko

700 laty. A cóż dopiero mówić o tej najjaśniejszej gwiazdzie na niebie nauki, jaką jest św. Tomasz z Akwinu! Najwięksi uczeni naszych czasów musieli przyznać, iż niczego więcej nie napisali, czego już św. Tomasz nie uczył.

Wogóle uczonych poza księżmi i zakonnikami w wiekach średnich nie było.

Zaprawdę, z takim plonem działalności swej nie potrzebuje się Kościół wstydić.

To też ośwadcza najwyraźniej ci uczeni, którzy sumiennie i pilnie badali dawne czasy i dokładnie je poznali, a nie liczyli tylko trochę nauki, nawet niekatolicy, że Kościołowi zawdzięcza oświata i nauka w wiekach średnich wprost wszystko. Pewien uczony protestancki oświadcza bez ogródki, że kto Kościołowi katolickiemu zarzuca wrogie usposobienie dla oświaty, ten jest albo bardzo powierzchnowy, albo zaślepiony, albo też przepojony nienawiścią. I nie on jeden tak mówi. A są to inne powagi naukowe niż tacy Czapińscy i Putkowie.

I na nowszych czasach wycisnęła działalność oświatowa Kościoła wybitne piętno. Gdy z początkiem nowych czasów nastąpiło k. zw. odrodzenie nauki, byli papieże jednymi z najgorętszych zwolenników tegoż odrodzenia. Wspaniały rozkwit nauk, jaki rozpoczął się w wieku piętnastym, mógł odnieść tak wielkie triumfy tylko z pomocą papieży. Tacy papieże, jak Mikołaj V, Pius II, Juljusz II i Leon X uczynili dla rozwoju nauki więcej niż królowie i książęta.

Uczeni mieli przystęp każdego czasu do papieży. Całe ich szeregi żyły na dworze papieskim na koszt tegoż. Niestety zdarzało się nieraz, że i niegodni używały szcudroblowości papieskiej, odpłacając się potem czarną niewdzięcznością. Mieli papieże ten zwyczaj, że poetom sławnym wręczali wieniec laurowy w uznaniu dla ich dzieł. Pałace papieskie napelniały się obrazami przestępnych mistrzów. Za namową papieży powstawały precudne świątynie. A w Watykanie gromadzili oni książki z takim zapałem i taką umiejętnością, że obecnie jest tamtejsza biblioteka najbogatsza na świecie.

Są nawet tacy, co zarzucają niektórym papieżom, że zawiele zajmowali się nauką, a zamało właściwemi sprawami Kościoła.

A śladami papieży szło duchowieństwo. Wszak księdzem, kanonikiem w Fromborku na Warmji, był nasz sławny rodak, toruńczyk Mikołaj Kopernik, co to „słońce wstrzymał, a niebo poruszył”.

By podnieść oświatę, powstaje nawet w tym celu nowy zakon. Św. Józef Kalasanty założył swój zakon Pijarów dlatego, by prowadził szkoły dla nauki początkowej, czyli jak je obecnie nazywają, szkoły powszechne. I wielka część zgromadzeń zakonnych główny swój cel widziała w pracy nad oświatą dzieci. I do najnowszych czasów spełniają chlubnie zakony to swe zadanie, co nawet innowiercy przyznać muszą. A gdy w Francji rząd dostał się pod wpływ masonów i niedowiarzków, przeląkł się tak tą działalnością zakonów,

że rozwiązał szkoły zakonne. Jest to najchlubniejszym świadectwem dla zakonów.

Niezmiernie wiele zawdzięcza i Polska pod względem oświaty i nauki Kościołowi i duchowieństwu. Wszak aż do rozbiorów główny ciężar utrzymywania szkół spoczywał na duchowieństwie i to przeważnie zakonnem. Zakony musiały prowadzić u nas szkoły wszelkiego rodzaju, bo kto inny mało o nich myślał. I jeżeli jest w dziejach naszych jaki wybitny i znakomity mąż, to wyszedł on z szkół zakonnych. Uniwersytet wileński założyli i prowadzili Jezuici.

Wogóle wiedli u nas duchowni i zakonnicy rej wśród ludzi uczonych. Taką biskup Naruszewicz zostawił po sobie 200 tomów prac historycznych. Jezuita Grzegorz Piramowicz zasłynął jako pedagog święty i jeden z twórców najpierwszego w Europie ministerjum oświaty, naszej Komisji Edukacyjnej. Drugi jezuita, ks. Rogaliński w Poznaniu, zdumiewał ludzi swą wiedzą w astronomii t. j. nauce o gwiazdach. Na całą Europę znany był inny jeszcze jezuita, Marcin Poczobut, rektor akademii wileńskiej, jako matematyk, fizyk i poeta; sławną akademią paryską w dowód uznania przyjęła go w poczet swych członków. Reformę zupełną szkolnictwa polskiego zawdzięczamy nie komu inemu, jak zakonowi Pijarów, a mianowicie jego prowincjałowi, ks. Szymonowi Konarskiemu. Temu to zakonnikowi kazał ks. Stanisław August wręczyć medal z napisem: „Sapere auro“ t. j. „temu, który odważył się być mądrym“.

Tych kilka tylko nazwisk przytaczamy, a można ich wymenić całe dziesiątki.

Oto jak Kościół zachowywał się wobec oświaty i nauki. W takim świetle przedstawia się to jego zacofanie, o którym niedowiar-kowie nieuczciwi, bo uczciwi mówią inaczej, a socjaliści oraz pokrewni im duchem, ludziom naiwnym głoszą.

Jest wprawdzie Kościół wrogiem jednej oświaty, i to tej, która chce ludziom wydrzeć z serc wiarę w Boga i rozpustą je zatruć. Takiej oświaty, która w szerzeniu bezbożnych i rozpustnych książek widzi swe zadanie, Kościół nie popiera, owszem ją zwalcza, bo do tego zmusza go obowiązek, nałożony mu przez Chrystusa Pana. I jeżeli o takiej oświacie myślą ci, co Kościół zaczepiają, to mają rację. Lecz taka oświata, to jest nie postęp, to straszne cofnięcie się wstecz, bo w ciemności pogaństwa.

DZIAŁ ZJEDNOCZEŃ.

ZJEDNOCZENIE STOW. ROBOTNIKÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH.

Komunikat

w sprawie Związków Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich.

Ostatni zjazd księży sekretarzy generalnych, odbyty w listopadzie ubiegłego roku w Warszawie, wykazał, że brak zalegalizowanego statutu przeszkadzał najwięcej szybkiemu rozwojowi stowarzyszeń.

Po długotrwałych staraniach udało się wreszcie ks. kanonikowi Albrechtowi uzyskać legalizację u p. ministra Spraw Wewnętrznych. Tem samym znikła największa przeszkoda intensywnej pracy.

Dla księży sekretarzy generalnych powstają stąd zadania, które należy spełnić w najbliższym czasie.

1. Oddziały Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich względnie nowo utworzone Stowarzyszenia powinny na najbliższych walnych zebraniach przeprowadzić uchwałę, przyjmującą nowy statut. Statuty Stowarzyszenia, Związku oraz Zjednoczenia wysłać na życzenie tymczasowe biuro Zjednoczenia w Poznaniu, Św. Marcin 69. Pan minister zażądał przy legalizacji pewnych zmian statutów o znaczeniu podrzędnym. Ponieważ biuro Zjednoczenia ma w zapasie kilka tysięcy statutów, przeto narazie nie wyda nowego nakładu statutów, a przygotowało osobno kilkaset „uzupełnień” stosownie do życzenia p. ministra. Każdy oddział wzgl. Stowarzyszenie otrzyma na życzenie po dwa egzemplarze „uzupełnień”. Z tych należy jeden egzemplarz wraz z statutami przesłać celem zarejestrowania p. staroście, w obrębie którego kompetencji jest siedziba stowarzyszenia, a drugi należy zatrzymać w aktach Stowarzyszenia. Członkowie mogą otrzymać statuty bez „uzupełnień”.

2. Po zarejestrowaniu wszystkich Stowarzyszeń diecezji względnie okręgu należy bezzwłocznie przystąpić do stworzenia związku. W tym celu powinni księża sekretarze generalni zwołać zjazd delegatów wedle przepisów statutów, przyjąć statut Związku oraz postarać się o zarejestrowanie Związku u p. wojewody, w którego obrębie kompetencji będzie siedziba Związku. Bliższych informacji udzieli na życzenie tymczasowa dyrekcja Zjednoczenia.

3. Po zarejestrowaniu kilku Związków przystąpimy do utworzenia Zjednoczenia. Sprawą tą zajmie się tymczasowy Zarząd Zjednoczenia.

Zjednoczenie Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich.

Wszelkie reklamacje

co do nieotrzymania zeszytów „Przewodnika Społecznego“
należy zgłaszać w przeciągu miesiąca,
t. j. aż do ukazania się następnego numeru.

Po upływie tego czasu będziemy oddawali brakujące numery
tylko za ponowną opłatą zwykłej ceny, o ile nam zapas starczy.

Administracja.

„ROBOTNIK“

Pismo tygodniowe Związku Katolickich To-
warzystw Robotników Polskich archidiecezji
gnieźnieńskiej i poznańskiej
wychodzi
w Poznaniu.

Przedpłata wynosi kwartalnie 9,— mk.,
na pocztach 9.36 mk., wprost z administracji
pod opaską 8 - mk.

Adres redakcji i administracji:

Poznań, Św. Marcin 69.

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

10927 | 2

CZASOPISMA

1920/1-3

Do Szanownych Pr

Z powodu nowych zwyczajów
ustala
cenę niniejszego zeszytu na mk. 25
wliczając już w

Zarazem

prosimy o spieszne uregulowanie prenumeraty za czas od
1 października 1920 do 31 grudnia t. r., która wynosi 59 M.,
dla Stowarzyszeń 56 mk.

Do tego należy dołączyć 1 mk na opłatę doręczenia pocztowego.
Z względu na znaczne koszty będziemy wysyłać rachunki
tylko na życzenie.

Dla wygody tych, którzy w ciągu miesiąca opłaty tej nie
nadeślą,

wyślemy przyszły numer za zaliczka.

Obecne stosunki wydawnicze
zmuszają nas
do

pobierania odtađ opłaty z góry za cały kwartał.

Wobec tego

wynosi prenumerata na nowy kwartał 75 mk,
dla Stowarzyszeń 69 mk,

z tem zastrzeżeniem, że w razie niedoboru z powodu znacz-
nego wzrostu kosztów nastąpi stosowna dopłata.

Kto nie uiszi aż do drugiego miesiąca każdego kwartału pre-
numeraty, od tego pobierzemy ją przez zaliczkę.

Najwygodniej dla Szanownych Prenumeratorów i dla nas
będzie, jeżeli

zechcą opłatę zaraz nadeśląć za CAŁY CZAS od 1 paździer-
nika r. 1920 aż do 31 marca r. b. w wysokości 134 mk,
z opłatą doręczenia pocztowego 135 mk.

Stowarzyszenia płacą 125, wzgl. 126 mk.